

KRONIKA HITLEROWSKICH TAJEMNIC



IGOR WITKOWSKI

Redaktor: Jan Wojciechowski

Redakcja techniczna i skład: O.Kvyatkovska

Projekt okładki: Igor Witkowski

Zdjęcia: zbiory autora (jeżeli nie zaznaczono inaczej)

Druk i oprawa: Regis Sp. z o.o.

Wydawca: WiS-2; ul.Górska 20/21, 01-112 Warszawa

www.igorwitkowski.com; e-mail: contact@igorwitkowski.com

© Wydawnictwo WiS-2®, Warszawa 2004
Wydanie I

ISBN 83-88259-17-2

DRUGIE OBLICZE HIMMLERA, CZYLI POGOŃ ZA SKARBAMI NIE Z TEGO ŚWIATA

Reichsführer SS, Heinrich Himmler to bez wątpienia jedna z najbardziej przerażających, ale również niezwykłych, niesamowitych postaci, jakie odcisnęły swe piętno na historii XX wieku. Siła jego zbrodniczej, nieludzkiej strony była tak wielka, że skutecznie przesłoniła inne aspekty osobowości, tym bardziej, że bardzo niewielu ludzi zdawało sobie sprawę z ich istnienia. Przeciwności istniejące czy dopełniające się w umyśle tego człowieka stanowią wzorcowy wręcz temat z punktu widzenia analiz psychologicznych czy psychiatrycznych. Z jednej przecież strony Himmler firmował „likwidację” całych narodów (również jako Komisarz Rzeszy ds. Umocnienia Niemczyzny) a z drugiej był osobą autentycznie głęboko wrażliwą na cierpienia zwierząt, żywił chorobliwą niechęć do myśliwych...

Zwykle w obliczu takich danych wyobrażamy sobie osobę wewnętrznie niespójną, wręcz psychicznie upośledzoną. Problem polega jednak na tym, że Himmler wcale takiego wrażenia nie sprawiał. Stworzył system zbrodniczy, niemniej funkcjonujący bezszmerowo do samego końca wojny, ekspansywny, w swej samowystarczalności (finansowanie i siła robocza) bardzo trudny do przeniknięcia dla ludzi z zewnątrz i wręcz perfidny w swej sprawności.

Oto co minister Speer powiedział o tej mniej znanej stronie osobowości Reichsführera SS:¹

„Współczułem każdemu, kto próbował rozwikłać jakiegokolwiek przedsięwzięcie, podjęte przez Himmlera – misternie utkane oszustwa i przerażające pomysły, do których ten niesamowity człowiek był zdolny, pochodziły jakby z innego świata”.

Z kolei pułkownikowi Dornbergerowi z Peenemünde Himmler wydał się osobą spokojną, niezwykle rzeczową i działającą w oderwaniu od emocji:

„Nigdy nie posądziłbym tego człowieka o stosowanie przemocy. W tym młodym, szczupłym, średniego wzrostu mężczyźnie w szarym mundurze SS nie potrafiłbym dostrzec czegoś niezwykłego. Spod normalnie wysokiego czoła spoglądały na mnie poprzez błyszczące szkła binokli niebieskoszare oczy o łagodnie pytającym wyrazie. Przyszczyżone wąsy pod prostym, kształtnym nosem, rysowały się ciemną linią na chorobliwie bladej twa-



Heinrich Himmler.

rzy. Wargi bezkrwiste i bardzo wąskie. Z pewnym zdziwieniem spoglądałem na ledwo widoczny cofnięty podbródek. Skóra na szyi była wiotka i pomarszczona. W kącikach ust ukazywał się niekiedy ledwo dostrzegalny, odstaniający lśniąco białe zęby, ironiczny i pogardliwy uśmiezek, który ożywiał nieruchomą twarz. Smukłe, białe, niemal dziewczęce delikatne ręce o wyraźnie zarysowanych niebieskich żyłach trzymał nieruchomo na stole podczas całej naszej rozmowy. (...)

Himmler miał rzadki dar umiejętności uważnego słuchania. Wygodnie rozsiadając się, zakładając nogę na nogę, przez cały czas zachowywał ten sam uprzejmy wyraz twarzy. Jego pytania świadczyły, że nieomylnie pojmował, co technicy ujawnili mu z zasobów swojej wie-

dzę. Rozmowa zeszła na temat wojny i padły ważne, nękające nas pytania. Odpowiadał spokojnie i szczerze. Tylko w niektórych chwilach, siedząc z łokciami spoczywającymi na poręczach krzesła, wymownie akcentował słowa, uderzając o siebie opuszkami palców obydwu dłoni. Był człowiekiem gestykującym spokojnie i bez emocji. Nie uznawał zbędnych słów."

Za tą fasadą racjonalizmu i bądź, co bądź materializmu skryta była jednak wyraźna transcendencja – wiara już nie tyle w bliżej nieokreśloną opatrność (jak w przypadku Hitlera), co w tajemnicę pierwotnych, bezkształtnych sił natury (germ.: „Wralda”), w siłę krwi czystego rodu, dziedzictwo przodków – nawet w swoim domu miał „pokój dziedzictwa przodków”, dosłownie „Ahnenzimmer”. Ten mistycyzm i okultyzm Himmler realizował, przynajmniej, jeśli chodzi o jego zasadniczą część, w ukryciu przed światem zewnętrznym, dlatego tak niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z zakresu tego zjawiska – wręcz jego nadrzędności. Pomimo bowiem wspomnianej fasady Himmler był mistykiem do szpiku kości. Jego teorie rasowe były podporządkowane teoriom mistycznym. Himmler był np. zwolennikiem całkiem obłędnej tzw. kosmogonii glacialnej. Niewielu zdaje sobie np. sprawę, że dwoma dominującymi czynnikami w jego psychice były: coś, co można by nazwać „pragermanizmem” oraz hinduska koncepcja wszechświata i

wiecznych cykli przyrody, Bhadavad Ghite podobno nosił ze sobą zawsze. Rozgrywało się to wszystko w tajemnicy nie tylko dlatego, że okultyzm z definicji zajmuje się tym, co ukryte i nie tylko ze względu na wrogów zewnętrznych, ale w dużej mierze w ukryciu przed Hitlerem, który m.in. podczas zjazdu NSDAP w 1938 roku wygłosił następującą „laurkę” pod adresem Reichsführera SS:

„Na czele naszego programu – oświadczył – stoi nie tajemnicze przeczuwanie, lecz jasne poznanie i otwarte wyznanie wiary... Biada, jeżeli z powodu wkradania się niejasnych elementów mistycznych ruch lub państwo zaczną wydawać niejasne polecenia. Wystarczy już, żeby niejasne były same słowa. Niebezpieczne jest samo tworzenie jakichś „przybytków kultu”, gdyż stąd wynika potrzeba wymyślenia następnie odpowiednich rytualnych gier i w ogóle rytuału. Naszym „kultem” jest wyłącznie pielęgnowanie tego, co naturalne i co właśnie dlatego odpowiada woli bożej.”

Mówiąc o „przybytkach kultu” Hitler miał bez wątpienia na myśli „ołtarze” w tzw. zamkach zakonnych SS (Ordensburgen) a przede wszystkim w najważniejszym z nich – w Wewelsburgu, do którego jeszcze wrócimy...

Konsekwencją tych tęsknot był, realizowany na szeroką skalę, na w pół tajny program poszukiwań różnych tajemniczych pozostałości z dawnych epok, skupiających w sobie mistyczne moce – od starych ksiąg tybetańskich aż po Arkę Przymierza. Co o tym wiadomo? Niby niewiele, jednak żmudne badania mimo wszystko ujawniają dosyć obszerny wachlarz przyszłych „relikwii SS”. Bez wątpienia na pierwszym miejscu „listy życzeń” Himmlera znajdowała się Arka Przymierza i Święty Graal, jednak zacznijmy od początku...

W związku z azjatyckimi inklinacjami Reichsführera, niewątpliwie „oczkiem w głowie” był Tybet – pojmowany dwojako: jako prazródło „rasy aryjskiej” (według niego) oraz jako skarbnica pradawnej, boskiej wiedzy. Himmlerowska organizacja paranaukowa „Deutsches Ahnenerbe” zrealizowała kilka wypraw, i to bardzo kosztownych, do Tybetu (zresztą będących prawdopodobnie inspiracją dla Stevena Spielberga, gdy kręcił „Poszukiwaczy zaginionej Arki” – w filmie jest też wątek tybetański). Pierwsze dwie ekspedycje były w Tybecie, wtedy jeszcze niepodległym, w latach 1934 i 1936, jednak nie dokonały ani żadnych rewolucyjnych odkryć ani nie przywiozły szczególnie wartościowych „zdobyczy”. Niemcy byli jednak niezwykle aktywni i chyba najbardziej im wtedy zależało na pozyskiwaniu przychylności osób wpływowych, zarówno urzędników państwowych jak i kluczowych osobistości z punktu widzenia dotarcia do dziedzictwa historyczno-kulturowego tego kraju. A trzeba mieć na uwadze, że wtedy był to jeszcze rejon bardzo słabo zeksplorowany pod tym względem.

Nawiązane znajomości przyniosły owoce podczas trzeciej, najważniejszej wyprawy, zorganizowanej w 1939 roku. Jej formalnym szefem był SS-Sturmbannführer dr Ernst

Schäfer, zaś faktycznie najwyższą instancją w kwestiach historyczno-archeologicznych był jeden z najwybitniejszych orientalistów tego czasu, szwedzki profesor Sven Hedin. O tym, że wyprawy organizowane przez „Deutsches Ahnenerbe” miały dużą wartość naukową świadczy chociażby poniższa notka prasowa, jaka ukazała się 21 lipca 1939 roku w dzienniku „Der Neue Tag”:

„Święte pisma tybetańskie uzyskane przez dr Schäfera – ekspedycja z dziewięcioma zwierzętami jucznymi w wysokich górach” (inf. specjalna) – Frankfurt 20 lipca.

Tybetańska ekspedycja dr Ernesta Schäfera, która w trakcie drogi przez Tybet przebywała przez długi czas w Lhasie i w stolicy Panczen Lamy – Shigatse znajduje się obecnie w drodze powrotnej do Niemiec. Ponieważ pora monsunów rozpoczęła się wcześniej niż zwykle, marsz powrotny został przyspieszony, aby nie narażać drogocennych znalezisk. Ekspedycja ma już na koncie niezwykle wartościowe rezultaty swych badań. Niezależnie od niezwykłych osiągnięć na polu badań geofizycznych, w tym geomagnetycznych, uzyskano sukces w postaci zgromadzenia niezwykle bogatej kolekcji etnologicznej w tym, obok obiektów kultowych, również wielu przedmiotów i narzędzi życia codziennego.



Jeden z tybetańskich „kontaktów” SS-Sturmbannführera Schäfera – książe Gotsa.

Z pomocą regenta Lhasy, dr Schäfer odniósł również sukces uzyskując tzw. „Kangschur” – bogaty, zawarty w 108 tomach zbiór świętych pism tybetańskich, którego przetransportowanie wymagało wykorzystania dziewięciu zwierząt jucznych. Wyjątkowo bogate są również zbiory zoologiczne i botaniczne. Większość z nich ekspedycja już wysłała do Niemiec, pozostałe transportuje ze sobą.

Zbiory zoologiczne to m.in. wszystkie gatunki ptaków, występujące na badanym obszarze. Dr Schäfer był również w stanie złapać Schapi – okaz nieznanego dotychczas gatunku dzikiej kozicy.

Okolo 50 żywych zwierząt znajduje się w drodze do Niemiec, duża ich ilość pozostaje jeszcze na miejscu. Uzyskano poza tym wartościowe osiągnięcia w dziedzinie badań geograficznych i historycznych. Trudności, powstałe w wyniku napięć politycznych z władzami angielskimi zostały wyeliminowane dzięki osobistym kontaktom pomiędzy dr Schäferem a członkami władz brytyjskich w Shigatse, tak, że bezproblemowy powrót ekspedycji wraz z wartościowymi zbiorami został zagwarantowany.”

Tyle notatka prasowa. My musimy jednak zadać sobie podstawowe pytanie, – co takiego sprawiło, że poszukiwania w Tybecie stały się sprawą wagi państwowej, a Amerykanom kazało zainstalować w Tybecie rezydenturę OSS (kierowaną przez niejakiego Billa Donovana) i przygotowanie, jednak dopiero w 1942 roku amerykańskiej „kontrekspedycji” (kierował nią Ilija Tołstoj)? Na pewno nie chodziło tu ani o badania geofizyczne, ani o folklor, czy zbiory fauny. Czy mogło tam być coś, co stanowiłoby dla Niemców wartość niemalże strategiczną? Nie można wykluczyć, że tym, na czym Himmlerowi zależało najbardziej był sam Kangschur (inaczej: Kandzur) i księgi mu towarzyszące. Jest to bowiem olbrzymia skarbnica pradawnej wiedzy, chyba naj-

ważniejsza, jaką można sobie wyobrazić a przy tym nawet dziś mało znana, bo nieprzetłumaczona na żaden język zachodni. Trudno w związku z tym stwierdzić, dlaczego Reichsführer SS zwrócił na Kangschur tak szczególną uwagę, chociaż znany jest pewien przykład: gdy Erich von Däniken realizował w 1970 roku swój głośny film kino-



Scenki rodzajowe utrwalone na kliszy przez Schäfera podczas ekspedycji do Tybetu: „sąd w mieście Dżugomba”, oraz „skazany”.



wy przedstawiający argumenty za realnością kontaktów w przeszłości z obcymi cywilizacjami („Rydwany bogów”), jako jeden z podstawowych argumentów przedstawiony został właśnie Kangschur. Powodem było to, że zawiera on dokładne opisy obiektów latających „bogów” a w szczególności ich systemów napędowych pozwalających na pokonywanie grawitacji, wykorzystujących rtec. Nigdy nie udało mi się ustalić, z jakiego to przekładu tego tybetańskiego „Starego Testamentu” korzystał Däniken, być może właśnie tego niemieckiego z czasów wojny. Czy Himmlerowi chodziło o opisy pozaziemskiej techniki czy o inne tajemnice, tego się już chyba nie dowiemy. Na pewno nie można jednak sprawy zbagatelizować, gdyż wyrazy uznania, jakie spłynęły na Schäfera i Hedina były wprost niewiarygodne jak na zdobycze o charakterze „czysto historycznym”, które powinny zejść na daleki plan w obliczu działań wojennych. A jednak było zupełnie inaczej. Obie wspomniane osoby otrzymały najwyższe odznaczenia. Ernst Schäfer, jako oficer SS, wyróżniony został niezwykle rzadkim atrybutem – pierścieniem z trupa czaszką (SS-Totenkopfring) i szpadą honorową SS. Przydzielony został bezpośrednio do Osobistego Sztabu Reichsführera SS. Hedin z kolei został w 1940 roku przyjęty przez Hitlera i odznaczony Wielkim Krzyżem Zasługi – przyznawanym stosunkowo rzadko, a zwłaszcza cudzoziemcom. Jednym słowem obaj zostali potraktowani jak generałowie zwycięskiej armii. To chyba mówi samo za siebie...

W ramach „Ahnenerbe” utworzono specjalny instytut orientalistyczny imienia Svena Hedina, na który to cel przydzielono zamek Mittersill, będący w gestii SS. W jego ciemnych komnatach rozpoczęto szczegółową analizę przekazów zapisanych pradawnym piśmem. Bez względu na to, co działo się na frontach...

Himmler najwyraźniej znalazł to, o co mu chodziło. Mało znaną kwestią jest odpowiedź na pytanie: dlaczego szukał? Otóż bez wątpienia głównym źródłem inspiracji był profesor Karl Haushofer, różokrzyżowiec, założyciel towarzystwa „Vril” i doświadczony podróżnik – orientalista.³ Wtórował mu jego wcześniejszy asystent a późniejszy zastępca Hitlera – Rudolf Hess, który zresztą polecał w swej straceńczej misji do Szkocji z niczym innym jak z tybetańskim amuletem w kieszeni, przywiezionym w 1939 roku przez Hedina. Brytyjski autor, Jack Fishman podaje w swej książce, poświęconej m.in. Hessowi („The seven men of Spandau”, 1954), że jego lot był zainspirowany właśnie przez Haushofera, a dokładnie przez wizję, jakiej miał on doświadczyć we śnie. Rzekomo widział on zastępcę Hitlera „przechadzającego się po obwieszonych gobelinami salach angielskich zamków, aby przynieść pokój dwóm wielkim narodom”. Hess potraktował tą wizję dosłownie i po prostu postanowił ją wypełnić. Osoba profesora Haushofera wydaje się o tyle ciekawa, że zarówno w „mitologii” Różokrzyżowców jak i w działalności towarzystwa „Vril” sprawa „napędu rtecowego” (patrz: Däniken) zaj-

mowała miejsce naczelne. Samo słowo „vril” jest zresztą tybetańskie i oznacza boską energię umożliwiającą latanie a hieroglif „vri1” umieszczony był na fladze towarzystwa. Niezależnie od Hessa i Himmlera, Haushofer był również osobą blisko związaną z Hitlerem, regularnie epatował go opowieściami o Tybecie w czasie, gdy Hitler uwięziony był w twierdzy landsberskiej. Rola Haushofera jest o tyle istotna, że prawdopodobnie to on podsunął Himmlerowi myśl, czego ma szukać w Tybecie. Haushofer był chodzącą encyklopedią orientalistyki, a zwłaszcza omawianego tutaj jej aspektu. Ukończył studia orientalistyczne w Japonii i w Tybecie, w tym pierwszym kraju wstąpił podobno do jakiegoś tajnego stowarzyszenia (zresztą w 1946 roku popełnił samobójstwo, wykonując harakiri). Podsunął Himmlerowi myśl jeszcze jedną... Drugą bowiem obsesją Haushofera była legenda Szambali – mitycznej podziemnej siedziby „bogów” położonej gdzieś w Tybecie lub w Mongolii – tym razem już czysto materialnej skarbnicy pradawnej wiedzy, w tym oczywiście o obiektach latających najwyraźniej stanowiących sens istnienia towarzystwa „Vril”.

Na przykład wcześniejszy podróżnik – poszukiwacz i szpieg, Mikołaj Roerich (Rosjanin) zapisał w 1926 roku w swym dzienniku następujący fragment:

„Bezchmurny słoneczny poranek. Jaskrawoblękitne, lśniące niebo. Nad naszym obozem przemyka jak strzała czarny jastrząb. Razem z naszymi przewodnikami śledzimy



Karawana Schäfera przedzierająca się do jednego z klasztorów ukrytych wysoko w górach.





Przykład pokazujący jak wielką skarbnicą pradawnej wiedzy był Tybet –zwój pisma znaleziony na początku XX wieku, którego do dzisiaj nie udało się odczytać.

„Niedaleko od Ułan-Dawana widzieliśmy ogromnego, czarnego grzyba lecącego w pobliżu naszego obozu. On leciał na spotkanie czegoś świetlistego i pięknego, co leciało na południe nad naszym obozem i świecącego w blasku Słońca.”

A przecież nikt wtedy jeszcze nie słyszał o obserwacjach obiektów tego rodzaju!

Do legendy o Szambali sięgnąłem nie bez powodu gdyż była to obsesja również profesora Hedina i najwyraźniej jeden z tematów, jakimi „zajęła się” ekspedycja z 1939 roku. Po jej zakończeniu zrealizowano bowiem film dokumentalny a słowa wypowiedziane w nim przez szwedzkiego profesora chyba należy rozumieć właśnie w kontekście tej mitycznej krainy:

„To był mój cel – nieznanne części Azji, tam gdzie znajdowały się niezbadane tereny. Zawsze chciałem odwiedzić te miejsca w Azji, co też uczyniłem. Czuję i wierzyłem, że

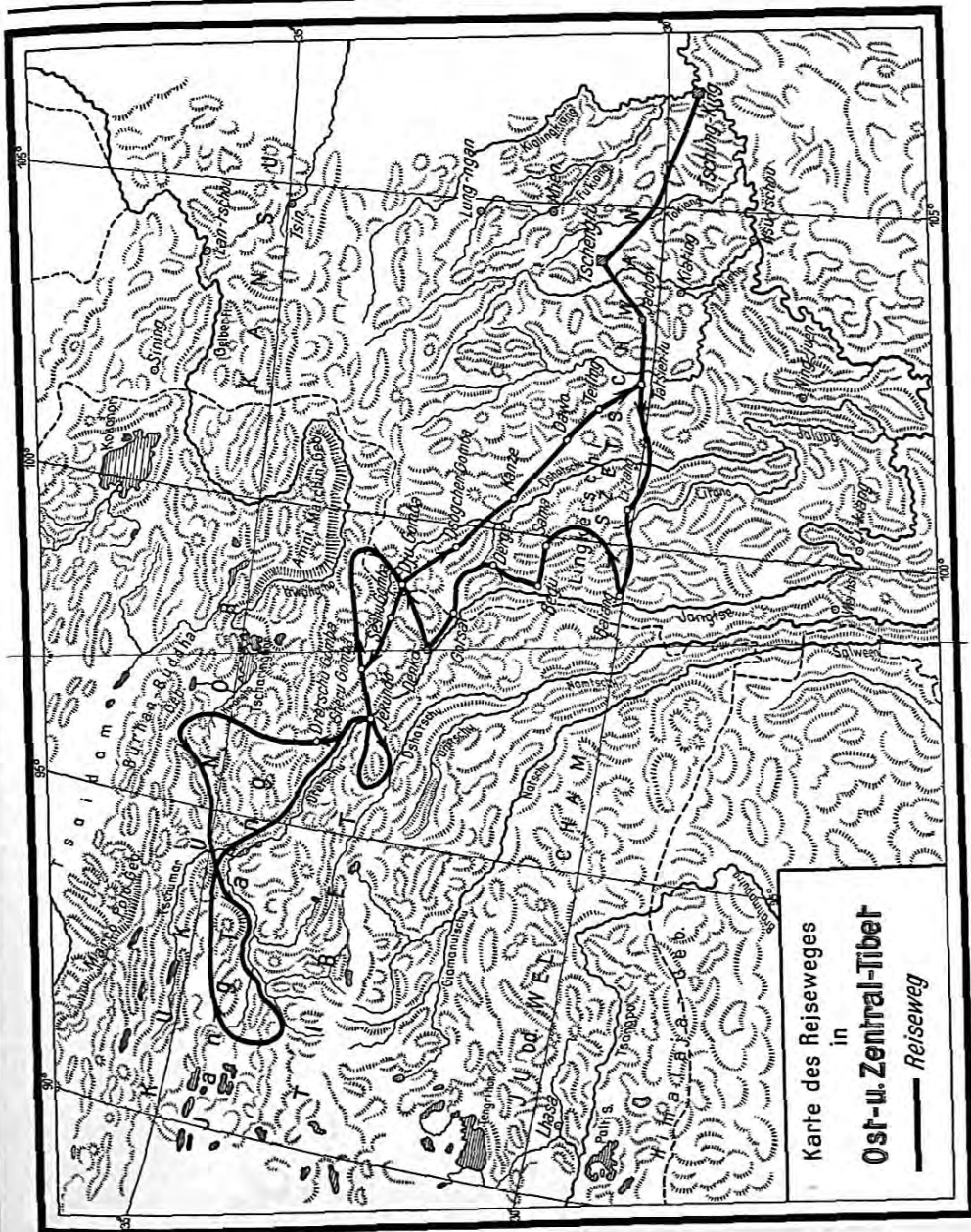
jego lot. I nagle jeden z buriacznych lamów unosi rękę wskazując w błękit nieba.

- Co to? – pytamy. – Balon powietrzny?

- A może aeroplan?

Zdumieni, widzimy nad sobą błyszczący obiekt, który leci na olbrzymiej wysokości z północy na południe. Przyniesiono z namiotów trzy najsilniejsze lornetki. Obserwujemy dość duże sferoidalne ciało, lśniące w słońcu i wyraźnie widoczne na błękitnym niebie. Porusza się bardzo szybko. Następnie widzimy, jak zmienia kierunek – bardziej na południowy zachód – i znika za osnieżonym łańcuchem Himalajów. Cały obóz śledzi niezwykle zjawisko, lamowie szepczą: »To znak Szambali!«

W drugiej swej książce „Szambala promieniejąca” N. Roerich opisuje zupełnie innymi słowami to spotkanie:



Trasa drugiej wyprawy SS do Tybetu.



Średniowieczny diagram alchemiczny Różokrzyżowców, dotyczący rtęci jako klucza do boskiej wiedzy, swego rodzaju bramy do innych światów. Zgodnie ze związaną z nim legendą „ktokolwiek rozszyfruje tę alchemiczną zagadkę, będzie w stanie dotrzeć do ziem dotychczas zupełnie niedostępnych”. Widać m.in. węża czy smoka ziejącego ogniem, którego płomień tworzy pętlę.

w środku pustyni, gdzie nie można spotkać żywej duszy, gdzie nie było dróg, można było znaleźć ślady jakiejś starej cywilizacji”.

Słowa te brzmią zresztą trochę tak, jakby przypuszczenia te się potwierdziły...

Skoro już jesteśmy przy tej osobie to warto zwrócić też uwagę na znamienne wypowiedź Hitlera: „żadnych dwóch ludzi”, wyznał kiedyś, „nie interesowało mnie bardziej niż Nansen i Sven Hedin”. Niewątpliwie wątek ty-

544

Tibet

SS Sturmführer Dr. Schäfer, Research Department for Central Asia
to Sievers

IV/27, #2

" All the efficient and valuable coworkers of Sven Hedin's are readily cooperating. They also are very pro-German. Therefore it will doubtless be possible to obtain valuable results regarding scientific work and propaganda if the negotiations are led with appropriate skill. As we in Germany suffer from a lack of people in general and of scientists in particular, whereas for Sweden the contrary is true, I should assign some of the most important coworkers of Hedin's for actual cooperation with our Research Department for Central Asia Expeditions. The names of these coworkers are:

Norm (Geologist)

Bexelt (Quarternary geologist and botanist
for polar vegetation)

Bohlin (Polar scientist)

D 336 AHNENERBE B 110/n2 Norm

(No. 234)

Wybrany, przetłumaczony na angielski dokument Ahnenerbe, dotyczący współpracy pomiędzy Schäferem a Hedinem, pochodzący z archiwum amerykańskiego wywiadu w College Park.

betański w historii III Rzeszy był znaczący i jako taki musiał być poparty konkretnymi argumentami, znanymi nam tylko częściowo. Pięć dni przed ogólnie uznawaną datą śmierci Hitlera, w początkowej fazie zdobywania Berlina, żołnierze radzieccy znaleźli w piwnicy (lub schronie przeciwlotniczym) jednego z budynków krąg sześciu ciał. Należały one najwyraźniej do osób, które popełniły zbiorowe samobójstwo. Byli to Tybetańczycy.

Ustalono, że prawdopodobnie najważniejszy z nich, w stroju mnicha i w nietypowych, zielonych okularach określany był jako „Strażnik klucza”²⁴. Nieco później znaleziono również około tysiąca ciał o azjatyckich cechach, lecz w mundurach, byli to jednak prawdopodobnie żołnierze jednej z azjatyckich jednostek Waffen-SS. Ciekawe zresztą, w jaki sposób Schäfer i jego zwierzchnik zdołali zjednać sobie niechętnych zwykle do współpracy Tybetańczyków. Bo pokazanie samego tybetańskiego symbolu swastyki na pewno by nie wystarczyło...

* * *

Post scriptum: dzięki nieocenionej pomocy znajomego badacza – Roberta Leśniakiewicza otrzymałem w trakcie pisania tej książki parę ciekawych materiałów na temat Tybetu i Szambali, będących dokonanymi przez niego tłumaczeniami artykułów z prasy rosyjskiej. Szczególnie interesujący wydał mi się artykuł pochodzący z numeru 24/2004 czasopisma „Argumenty i fakty” a opisujący skrótowo nieznaną dotychczas niemiecką wyprawę do Tybetu – zrealizowaną w 1943 roku! Robertowi za materiał serdecznie dziękuję. Oto jego fragmenty dotyczące interesujących nas wydarzeń:

„W styczniu 1943 roku, w największej tajemnicy z Berlina do Tybetu wyjechało pięciu ludzi, dowodzonych przez doświadczonego austriackiego alpinistę Heinricha Charrerę i zaufanego zausznika Himmlera – Petera Aufschneitera. Nie zdało się to na wiele, bowiem już w maju całe towarzystwo zostało aresztowane w brytyjskich Indiach i wylądowało w więzieniu. Nie wiadomo, jakim sposobem, ale wszystkim esesmanom udało się uciec z więzienia i pod koniec roku przybyli oni do Tybetu. Co się z nimi dalej stało? – to pozostaje zagadką do dnia dzisiejszego...

- Doskonale pamiętam Heinricha Charrerę – powiedział w ekskluzywnym wywiadzie dla „AiF” mieszkający w mieście Dżarmsala, Indie, XIV Dalajlama Tybetu, który w chwili, gdy do jego górzystej ojczyzny przybyli Niemcy, miał 7 lat. – Zapoznałem się z nim już po wojnie, w 1948 roku, kiedy przybył on do stolicy Tybetu – Lhasy. Okazało się, że przybył on do Tybetu w poszukiwaniu Szamballi i przebywał tam całych pięć lat i dopiero wtedy dowiedział się, że Niemcy skapitulowały i wojna się skończyła. Z jego grupy ostał się tylko Aufschneider.

Zatem, gdzie ta esesowska ekspedycja przebywała przez te pięć lat? Część historyków uważa, że Charrer (podający się w Tybecie za niemieckiego komiwojażera, który uciekł Brytyjczykom) w rzeczywistości znalazł Oś Świata, ale nie rozumiał czy nie wiedział, jak nią zakręcić w odwrotną stronę. Także nie wiadomo, co się stało z jego trzema towarzyszami. (...) Po pracy w pałacu Dalajlamy Charrer (który uczył dziecko angielskiego) w roku 1951 opuścił Lhasę i powrócił do rodzinnej Austrii z ogromnym archiwum, które zostało mu natychmiast skonfiskowane przez Brytyjczyków. Potem napisał on i wydał książkę pt. „Siedem lat w Tybecie”, która stała się bestsellerem po wielu latach, kiedy na jej podstawie nakręcono film z hollywoodzkim gwiazdorem Bradem Pittem. Potem w ręce dziennikarzy wpadła część dokumentacji Himmlera, Charrer już nie żył i nie mógł potwierdzić, że pojechał do Tybetu na osobisty rozkaz Himmlera. Archiwum tybetańskiej ekspedycji SS – w tym i materiał filmowy – brytyjskie władze wzbraniają się odtajnić.”

* * *

Mało znaną ciekawostką z omawianej dziedziny jest pogoń Himmlera za jeszcze jednym przedmiotem z dawnych czasów, związanym z boską mocą – za tzw. łańcą przeznaczenia – grotem włóczni, którą miał zostać przebity ukrzyżowany Chrystus. Zgodnie z panującą legendą miała ona dać posiadaczowi władzę nad światem. Niewiele wiadomo o tej sprawie, to znaczy konkretnie o zakusach Himmlera.

Grot „włóczni przeznaczenia” był do 1938 roku częścią kolekcji pałacu Hofburg w Wiedniu – o ile, rzecz jasna był to autentyk. Po Anschlussie Austrii przeniesiono go do Niemieckiego Muzeum Narodowego w Norymberdze. W mieście tym znajdował się bowiem wcześniej przez prawie czterysta lat, do końca XVIII wieku. Himmler miał zamiar w jakiś sposób przejąć „włócznię” i uczynić z niej coś w rodzaju relikwii dla swego „czarnego zakonu”, czyli SS. Miała być eksponowana w krypcie zamku Wewelsburg.⁵ Hitler nie dał się jednak przekonać i pozwolił jedynie wykonać kopię.

Według niesprawdzonych informacji, skarb ten był w ostatnich tygodniach wojny ewakuowany przez okręt podwodny, U-534, który został zatopiony u wybrzeży Danii.⁶

* * *

Na marginesie tych historii warto zauważyć, że i Hitler wykazywał tendencję do ulegania urokowi nieuchwytnych skarbów o charakterze mistycznym. W jedną z takich spraw, a raczej we wstydlivy przypadek oszustwa, zaangażował się w 1932 roku. Było to poważne zaangażowanie finansowe, polegające na współfinansowaniu poszukiwań skarbów... w rzeczywistości w ogóle nieistniejących. Oczywiście później Hitler robił,

co tylko mógł, aby o tej sprawie zapomniano, włącznie z przemienieniem całego nakładu, ujawniającej aferę książki.

Chodziło o poszukiwania grobowca legendarnego wodza Hunów, Attyli, wraz z domniemanym olbrzymim skarbcem. Scenerię całej historii stanowił na wpół zrujnowany zamek Aurolzmünster w Austrii a jej autorami i głównymi bohaterami byli dwaj mężczyźni o podejrzanej przeszłości i stwierdzonych później odchyleniach psychicznych: Karl Schappeller, radiesteta Binderberger, których wspomagał kombinator finansowy o mętnej reputacji dr Wetzel, będący kimś w rodzaju „managera” projektu. Schappeller miał później na koncie jeszcze jedną aferę, związaną z rzekomym źródłem nieograniczonej energii, opisaną w książce „Prawda o Wunderwaffe”. Oto jak sprawę tą opisano po wojnie:⁷

„W rejonie rzeki Inn od pokoleń utrzymywało się podanie, że król Attyla, rzekomo nieprawdopodobnie bogaty władca Hunów, został ze wszystkimi swymi bogactwami ziemskimi pogrzebany gdzieś w okolicy Aurolzmünster po tym, kiedy w roku 451, podczas zdobywczej wyprawy na Zachód, został doszczętnie rozbitý przez rzymskiego wodza Aecjusza. A ponieważ nadal krążyła gadka, że Attyla leży pochowany w „Pałacu nad Cisą”, zamek Aurolzmünster zaś początkowo zwał się „Pałacem” i ponadto położony jest nad potoczkiem zwanym Thissa, stąd wniosek, że Attyla może być złożony na wieczny spoczynek tylko pod zamkiem Aurolzmünster”.

Te przypuszczenia wystarczyło tylko „uwiarygodnić” wskazaniami radiestezyjnej różdżki:

„Poparcie instytutu uniwersyteckiego usankcjonowało ostatecznie Sekcję Austriacką monachijskiego towarzystwa różdżkarzy! Dr Wetzel mógł teraz przystąpić do zadęcia w trąby reklamy. W swoim czasopiśmie „Natur und Kultur” opublikował dalsze artykuły na temat odkrycia grobu Attyli. Potem zasypał całą prasę wiedeńską wiadomościami o mającym nastąpić otwarciu grobu w Aurolzmünster.

Gazety podały te wiadomości nie bez krytycznych komentarzy. Historycy, badacze regionu, geolodzy zajęli stanowisko w obszernych wywodach naukowych, nie skąpiąc sceptycyzmu. Ale to tylko rozdmuchało sprawę. Aurolzmünster i poszukiwanie grobu królewskiego stały się sprawą publicznie znaną i znalazły się na ustach wszystkich. Cel wrzawy propagandowej został osiągnięty. Fakt, że fachowcy nie chcą wierzyć w sukces przedsięwzięcia, mało wzruszał dra Wetzla, który tymczasem wysforował się tak daleko na pierwszy plan, że musiano go uważać za duchowego kierownika akcji. Okazywany sceptycyzm i brak zaufania były mu nawet bardzo na rękę. Gdyby mianowicie cały świat był przekonany, że Attyla ze swymi skarbami spoczywa w Aurolzmünster, to jego odkrycie nie wywołałoby już zaskoczenia, straciłoby już posmak sensacji.

Dopiero rozbieżność sądów czyniła projekt interesującym.

Pierwszy krok został, przeto zrobiony z powodzeniem. Należało teraz zamienić ogólne zainteresowanie w brzęczącą monetę. Trzeba było znaleźć facetów naszpikowanych forszą, gotowych zaofiarować majątek za szansę zostania współposiadaczami domniemanych skarbów w złocie i brylantach z upadłego królestwa Hunów”.

Wetzelowi udało się pozyskać wielu wpływowych sponsorów (oficjalnie – udziałowców), w tym przywódcę Stahlhelmu, Seldtego oraz... Adolfa Hitlera, który wyłożył z kasy NSDAP aż milion marek a ponadto bezpłatnie przydzielił oddział S.A. do ochrony miejsca wykopalisk. Austriacki pisarz i malarz Alois Wach, autor odnośnej książki, tej samej, której nakład Hitler kazał później przemielić tak opisał fantastyczne kulisy poszukiwań:

„Pogląd, że przy tym nowym, nie oczekiwanym rezultacie różdżkarskim może chodzić o legendarny grób Etzela-Atyli, króla Hunów, narzucał się wówczas sam przez się. Różdżkarz stwierdzał potrójną trumnę: wewnętrzną – złotą, pośrednią – ze srebra, oraz trumnę zewnętrzną – z żelaza. Szkielet w trumnie, opisany w zarysie przez różdżkę, wskazywał na postać niską, krępa. Przed trumną różdżka pokazywała skrzynię – długą, wąską: dwieście na sześćdziesiąt centymetrów. Grobowiec, wypełniony prawie zupełnie trumną i skrzynią, nie zawierał poza tym prawdopodobnie nic.

Częste próbne obchody terenu dawały wciąż na nowo ten sam obraz – różdżka pokazywała jasno i wyraźnie granice (powierzchnie radiacji) domniemanych pomieszczeń w ziemi. Stworzona przez różdżkarza i zakwalifikowana przez naczelnego redaktora czasopisma przyrodniczego jako w pełni godna zaufania teoria co do różnych metali, co do istnienia na pewno grobów i ich zawartości wprawiała w zdumienie...” (...)

„Mijają tygodnie. Na dziedzińcu zamkowym, półtora metra od miejsca, w którym na rysunku zlokalizowano domniemane groby Hunów, zbudowano nad miejscem wykopu porządny barak. Szyb pogłębiał się. Jednakże już na głębokości półtora metra powstał kłopot z przeciekającą wodą gruntową. Postarano się, żeby masy wodne odprowadzała motopompa. Roboty wykopowe czterech studniarzy posuwały się niezwykle wolno. Miejsce grobu, półtora na dwa metry, było tak obliczone, że trumna Atyli, której masa została dokładnie podana przez różdżkarza, mogła po wydobyciu z ziemi pozostać w swoim położeniu. Praca stawała się ogromnie niebezpieczna, groźba zawalenia się – coraz większa. Ustawicznie trzeba było wykop podpierać stemplami, co przy ściekających wodach stanowiło zadanie niestychanie skomplikowane. Woda gruntowa, zasilana stale dopływem ze stawu zamkowego, ściekała po ścianach małymi strumyczkami. Mimo to szyb stawał się coraz głębszy!”

Efektów jednak nie było żadnych, mimo że wykopano imponujący dół o głębokości kilkunastu metrów. W końcu jednak cierpliwość osób wciągniętych w tą aferę się

WEVELSZBURG

*Arx à Reverendissimo et Illustrissimo Principe
THEODORO Episcopo Paderbornensi edificata. ubi olim
Hunorum temporibus. et postea à Friderico
Arnsberge Comite, castellum situm fuit.*



Wewelsburg (jeszcze jako Wevelszburg) –rycina z 1630 r.

wyczerpała, podobnie jak przychylność rozbudzonej fantastycznymi wizjami prasy. Samymi „paranormalnymi” poszukiwaczami – wskazicielami zajęli się psychiatry, natomiast Wetzel w odpowiednim momencie ulotnił się wraz z lwią częścią „zainwestowanych” pieniędzy.

* * *

Himmler w swych poszukiwaniach wykazywał się mimo wszystko chyba większą dozą fachowości, chociaż trzeba przyznać, że o ile incydent z udziałem Hitlera miał podłoże czysto pragmatyczne (chodziło o swego rodzaju pogoń za wspaniałą tradycją, której nazistom bardzo brakowało), o tyle działania Reichsführera SS miały źródła i cele na wskroś okultystyczne. Dotyczyło to zwłaszcza przedmiotów czy obiektów opisanych poniżej, których miejsce w himmlerowskiej koncepcji było zupełnie szczególne – świętego Graala i Arki Przymierza. Aby to zrozumieć musimy zacząć od założka przyszłego



Fragment zamku, zdjęcie z lat dwudziestych.

centrum duchowego SS, jakim był zamek Wewelsburg w Westfalii. Miał on być sanktuarium SS a razem czymś w rodzaju „nowego wcielenia” zamku króla Artura. To tutaj też, w podziemiach, znajdowało się pomieszczenie zwane „najświętszym ze świętych”, gdzie miał być przechowywany, poszukiwany przez Rahna (później także przez Skorzenego) Święty Graal. To w Wewelsburgu omawiano plany włączonych do struktury SS organizacji mistycznych, obmyślano starogermańskie godła i zapisywane runami imiona dla najwyższych dostojników, realizowano okultystyczne misteria...

Dušan Hamšík, autor jednej z najlepszych biografii Himmlera tak opisuje to miejsce:⁸

„Do najwyższych dostojników SS zaliczało się dwunastu czło-

DRUGIE OBLCZE HIMMLERA, CZYLI POGOŃ ZA SKARBAMI NIE Z TEGO ŚWIATA



Wewelsburg podczas prac renowacyjnych prowadzonych przez SS w 1933r.

wych Obergruppenführerów – i Himmler polecił profesorowi Karłowi Diebitschowi, szefowi wydziału do spraw artystycznych w swoim sztabie, aby opracował dla nich specjalne herby. Dla Himmlera dwunastka była niemal mistyczną cyfrą: postępował zgodnie z mitem o celtyckim królu Arturze, który zawsze jadał i konferował ze swymi dwunastoma najdzielniejszymi rycerzami. Zainspirowany jego wzorem, Himmler kazał przygotować w zamku Wewelsburg salę, o długości 35 m i szerokości 15 m, w której ustawiono okrągły dębowy stół dla niego i dla jego dwunastu rycerzy. Ale nawet poza Wewelsburgiem zawsze dbał o to, aby przy jego stole było w miarę możliwości dwanaście osób. Wokół stołu ustawiano fotele obciążone skorą, a na nich były małe tarcze z nazwiskiem i herbem każdego z dwunastu wybranych.

Zamek Wewelsburg jest w ogóle dowodem na kuriozalne zamiłowanie Himmlera do obrządków historycznych, w których odnajdywał specyficzny sens i znaczenie dla teraźniejszości. Już sam wybór zamku Wewelsburgu ma istotne znaczenie dla tradycji, do której Himmler miał zamiar nawiązywać, – bowiem historia niemiecka daje możliwość wyboru wielu różnych i wzajemnie zwalczających się przekazów. Himmler postępował pod wpły-



Wewelsburg, „sala Obergruppenführerów”, zaprojektowana przez Himmlera w oparciu o opis głównej sali w zamku Cadbury.

wem legendy, która silnie na niego działała, a która kończyła się przepowiednią, że przyszłemu atakowi ze wschodu oprze się tylko jeden zamek w Westfalii. Polecił sprawdzić zamki w Westfalii i okazało się, że najmocniejsze mury obronne ma Wewelsburg niedaleko Paderborn. Na jego wniosek zamek został przekazany w czerwcu 1934 roku SS, za opłatą z tytułu wynajęcia wynoszącą 1 markę na rok. (...)

Pośrodku, na wzniesieniu, było miejsce na płomień wiecznego ognia, w którym miały być palone herby zmarłych. Dookoła dwanaście grobowców dla dwunastu najdzielniejszych „rycerzy”, a w środku główny grobowiec generała zakonu, czyli „króla” (Artura), tzn. dla Himmlera. Wietrzeń było



Dojście do krypty zwanej „Walhallą” –przed renowacją z 1933r.



SS-Obergruppenführer Siegfried Taubert, formalny zarządca We-welsburga w latach 1938-1945.

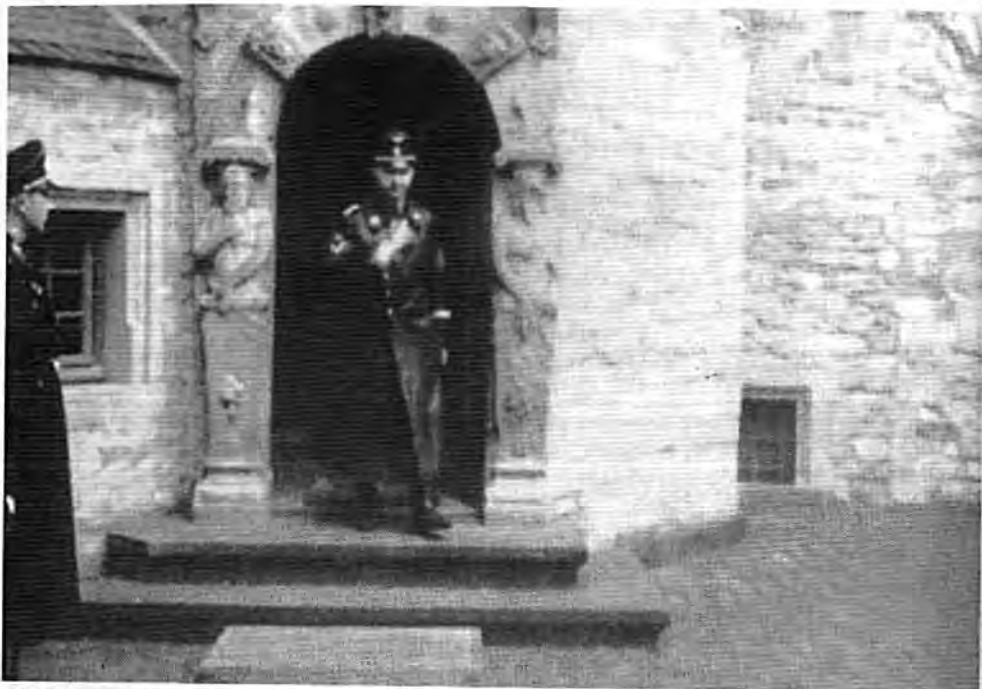
ograniczone, aby w trakcie palenia herbów zostawała w grobowcach taka ilość dymu, która stwarzała wrażenie, że w podziemiach przebywają dusze zmarłych”.

Jak więc widać, Himmler stworzył swe „centrum mistyczne” na wzór zamku króla Artura, czyli „zamku Graala”. Tego właśnie Graala jednak brakowało...

Z tego samego powodu jest oczywiste, jak wielką rangę nadano poszukiwaniom. Wyjaśnienie istoty Graala, to znaczy tego, czym on naprawdę był, to problem dosyć skomplikowany. Przyjrzenie się tym zawiłościom jest jednak konieczne, przede wszystkim z tego powodu, że należy zastanowić się, czego Himmler właściwie szukał.

Istnieją trzy wersje legendy. Pierwsza z nich, czysto mityczna i chyba najmniej realna wspomniana została m.in. w średniowiecznym poemacie Wolframa von Eschenbacha „Perzewal”. Pisał on:

„chcę wam opowiedzieć o kamieniu..., który nosi nazwę Lapsit exillis i który nazywano także Gradalis”.



Himmler w Wewelsburgu.

Niektórzy autorzy uważają, że nazwa ta jest skrótem określenia „lapis lapsus ex illis stellis”, czyli „kamień, który przybył z tamtych gwiazd”. Miał to być odłamek z korony Lucyfera, który spadł na Ziemię. Ta wersja jest powszechnie traktowana marginalnie.

Wersja najbardziej rozpowszechniona mówi o tym, że Graal był kielichem z ostatniej wieczerzy, w której Józef z Arymatei zebrał krew Chrystusa, wypływającą z otwartych ran podczas ukrzyżowania. Przez to miał on nabrać właściwości cudotwór-



SS-Brigadeführer Karl Maria Wiligut-Weisthor, odpowiedzialny m.in. za poszukiwania Graala. Tu na dziedzińcu zamku.

czych – mocy uzdrawiania ran, obdarzania wiecznym szczęściem i wieczną młodością. „Graal” oznacza zresztą „naczynie, zbiornik” w języku starofrancuskim. Wyjaśnienie to bynajmniej nie jest pewne, jako że żaden z czterech ewangelistów i tzw. synoptyków – ani Mateusz, Marek i Łukasz, ani Jan – nie wspominają ani słowem o tym, aby Józef z Arymatei zebrał w kielichu krew Ukrzyżowanego, chociaż inne wydarzenia opisano ze szczegółami. Podobnie niejasny jest też sposób, w jaki Graal miał dotrzeć do Anglii – na dwór króla Artura (prawdopodobnie zamek Cadbury, założony ok. 500 r.n.e. na miejscu prehistorycznej twierdzy górskiej Somerset), ani w ogóle do Europy. Mniejsza jednak o to, z punktu widzenia naszej historii ma to znaczenie drugorzędne...



Himmler żegna się ze służbą zamkową – 1939 r.

Dla nas jednak ważny jest fakt, że to, czego szukał Himmler mogło wcale nie być „tylko” kielichem, nawet najbardziej cudownym.

Na przykład Wolfram von Eschenbach napisał o nim: „Pozostawił go na ziemi wóz, który wrócił pośród gwiazd”. A więc nawet samo to stwierdzenie może wskazywać, że nie chodziło tylko o kielich Józefa z Arymatei. Wart uwagi jest motyw powtarzający się w kilku źródłach, mówiący o tym, że Graal dostarczał również niezwykle pożywienie, a mianowicie boską mannę, znaną m.in. ze Starego Testamentu. Wcale jednak nie jest wyraźnie powiedziane, że manna w Graalu powstawała - podobnie jak w opisie starotestamentowym „była zbierana” a następnie napełniano nią różne naczynia. Von Eschenbach pisze:

„wówczas stu giermków z szacunkiem zbierało na białe płótno chleb Graala, roznosząc go gościom wokół stołu”.

Stu giermków... a więc tej manny musiało być dużo. Opis ten nie miałby sensu, gdyby źródłem niezwykle pożywienia był sam kielich, nie trzeba by jej wtedy „zbierać”.



Karl Maria Willigut-Weisthor, zdjęcie wykonane bezpośrednio po wojnie.

Istnieje więc uzasadnione podejrzenie, że tajemnica Graala to nie tylko kielich, znajduje ono potwierdzenie w późniejszych latach – do sprawy tej jeszcze wrócimy.

W każdym razie związek „naczynia” z biblijną manną jest bardzo wyraźny. Oto parę opinii historyków:

„Motyw dostarczania żywności przez Graala przypomina zarówno biblijną mannę, jak i liturgię Wielkiego Piątku” (Megell, 1952) oraz: „Właściwość Graala polegająca na tym, że smak każdej potrawy zmieniał się w zależności od życzenia jedzącego, przypomina cechy manny. Ona również zmieniała swój smak, przystosowując go do gustu każdego z jedzących” (dr S. Gelhans, 1980).

Panowanie króla Artura przypadło na VI wiek naszej ery. Wraz z jego śmiercią dzieje Graala stają się jeszcze bardziej niejasne, wyrażnie przestaje się on pojawiać na arenie dziejów i to na przeciąg prawie sześciu wieków. Słysząc o nim ponownie dopiero w drugiej dekadzie dwunastego wieku – za sprawą nie mniej tajemniczego zakonu Templariuszy. Pozwolę sobie w tym miejscu odwołać się do cytatu ze skądinąd znakomitej książki Arnolda Mostowicza:⁹



XIV-wieczna rycina przedstawiająca legendarnego króla Artura.



Zamek w Malborku (znacznie większy niż Wewelsburg). Himmler finansował jego renowację, po wojnie miał stać się jednym z głównych „centrów duchowych” SS. Również tradycja i mit „zbrojnego, surowego zakonu, walczącego o przestrzeń na Wschodzie” (Krzyżaków) dużo bardziej odpowiadały Reichsführerowi SS niż tradycja arystokratyczna Wewelsburga czy zbudowane w latach trzydziestych „Ordensburgi SS” –w ogóle pozbawione tradycji.





Jedna z wież
w zamku w
Malborku.

„Templariusze to zakon założony w roku 1119 przez rycerzy z Szampanii jako bractwo dla ochrony pielgrzymów przybywających do Jerozolimy. Od siedziby w pobliżu dawnej świątyni (templum) Salomona, bractwo nazwano templariuszami. Liczne nadania oraz transakcje finansowe pozwoliły im zgromadzić wielkie bogactwo. Po upadku królestwa Jerozolimy wielki mistrz templariuszy przeniósł się do Francji. Król fran-

cuski Filip IV Piękny, pragnąc uwolnić się od długów, uwięził w 1307 roku wszystkich członków zakonu i zagarnął ich bogactwo. Oskarżeni o znieważanie krzyża i rozpustę, nie przyznali się (mimo tortur) do winy. 54 przywódców zakonu z wyroku inkwizycji spalono na stosie...

Peter i Johannes Fiebagowie, autorzy „Odkrycia Graala”, przeprowadzają ciekawą i dobrze udokumentowany dowód, że od pierwszej chwili powstania zakonu działania jego założycieli nie miały nic wspólnego z celami, jakie głosili. Wszyscy, a przede wszystkim najwybitniejsi z owej dziewiątki (bo tylu ich było), Hugo de Payns i Hugo de Champagne, zajmowali się intensywnymi poszukiwaniami czegoś, co musiało mieć dla nich olbrzymie znaczenie. Zajmowali się przy tym analizą i tłumaczeniem starych tekstów – kabalistycznych i biblijnych. I to tak intensywnie, że we Francji korzystali z pomocy słynnej szkoły rabinicznej w Troyes.

Owa dziewiątka pierwszych templariuszy związana była z późniejszym świętym: Bernardem z Clairvaux. W tej właśnie miejscowości, w tym samym czasie, powstało opactwo będące niejako francuską ekspozyturą templariuszy. W Clairvaux zajmowano się starymi tekstami.

W roku 1127 zakon przenosi się do Francji. Decyzja ta nie ma nic wspólnego z upadkiem Królestwa Jerozolimskiego. „Dziwiątka wspaniałych” z Jerozolimy osiedla się w Clairvaux i w rok później reguła zakonu zostaje zatwierdzona przez papieża.

Autorzy książki o Graalu uważają, że bractwo, a później zakon powstały w tym celu, by odszukać w Jerozolimie lub w jej pobliżu Arkę Przymierza z jej zawartością, tj. maszyną produkującą mannę.

Bracia Fiebagowie cytują następujący fragment listu św. Bernarda do papieża: „Z pomocą bożą i naszą zakończone zostało dzieło, co pozwala tym sługom Chrystusa wrócić ze świętego miasta Jerozolimy z powrotem do marchii i Burgundii...”

Dzieło zostało zakończone?

Jakie dzieło? Ochrony pielgrzymów? Przecież nie zaprzestali oni swych wędrówek do Jerozolimy.

Zastanowić się dokładniej wypada, co takiego działo się między rokiem 1119 a 1127, kiedy to bractwo, a wkrótce zakon, wraca do Francji, wykonawszy swoje zadanie? Odpowiedź brzmi: w tym czasie znaleziono to, czego tak usilnie dziewięciu założycieli zakonu szukało. Odpowiedź ta nie jest wyłącznym odkryciem autorów książki. Przed nimi dostrzegał ten fakt wybitny znawca dziejów zakonu templariuszy, Louis de Charpentier („Potęga i tajemnica templariuszy”, 1978):

„Jedno jest tu tylko możliwe wyjaśnienie tego zachowania. Owych dziewięciu rycerzy nie przybyło do Jerozolimy, by bronić pielgrzymów, ale po to, by coś ważnego odna-

leżć, uchronić i zabrać ze sobą. Coś szczególnie świętego, co znajdowało się w świątyni Salomona: Arkę Przymierza.

Charpentier nie pisze o maszynie, tylko o Arce. Bracia Fiebagowie zgadzają się, rzecz jasna, z tym rozumowaniem."

Arka! Im bardziej zagłębialiśmy się w dziejach Graala, tym mocniejszy okazuje się jego związek z Arką Przymierza! Znowu pojawia się też związek Graala z manną, ale także jeszcze inny ważny element – a nawet wręcz kluczowy. Równolegle z ponownym „wstąpieniem” kielicha na scenę historii, poza ścisły krąg wtajemniczonych przywódców Templariuszy zaczynają przeciekać niezwykle opowieści o „czymś jeszcze”, o czymś budzącym najwyższy podziw i przerażenie, o czymś zaiste niezwykłym. W pewnym momencie „przecieki” te – skąpe wprawdzie, ale jednak porażające w swej wymowie – zaczynają stwarzać zagrożenie dla samego zakonu. Docierają one w końcu do uszu hierarchów kościelnych, zazdrosnych zresztą o bogactwo Templariuszy, wywołują podejrzenia, że „krąg wtajemniczonych” podziwia idola nie mieszczącego się w kanonach wiary. Podziwia, zatem oddaje mu cześć. Ten tajemniczy obiekt nosił nazwę „Baphomet”.

Chociaż zakon popadł w konsekwencji w niełaskę, nigdy nie udało się „Baphometa” przejąć⁹. Podczas tortur, którym poddano członków władz zakonu z inicjatywy Filipa IV Pięknego, rycerze wspominali o istnieniu czegoś, co szokowało samym swym wyglądem, miało kilka głów, brodę zarówno na obliczu jak i wzdłuż ciała, błyszczące oczy...

Zgodnie uznaje się, że „Baphomet” stanowił największą tajemnicę Templariuszy, oczywiście nieznaną niższym członkom zakonu.

To, co jest w tym wszystkim najistotniejsze to fakt, że z jednej strony skąpe opisy „Baphometa” wyraźnie kojarzą się z opisami Arki Przymierza (a raczej z tym, co było wewnątrz niej noszone – sama Arka to tylko skrzynia) a z drugiej strony wiązana z Graalem manna to według przekazów biblijnych również sprawa Arki. Piszę to dlatego, że kontekst ten stawia poszukiwania prowadzone na zlecenie Himmlera w pomijanym dotychczas świetle.

Himmler, jako znawca z pewnością doskonale zdawał sobie sprawę z tego kontekstu, skoro nawet zamek znajdujący się w centrum rejonu objętego opisanymi dalej poszukiwaniami, we Francji nosi nazwę Chateau d’Arques, czyli dosłownie „Zamek Arki”!¹⁵

Przyjrzyjmy się więc „problemowi” Arki, bo jest to sprawa naprawdę ciekawa...

Biblia jako taka praktycznie nie opisuje zawartości Arki, była to jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic. W czasie wędrówki Żydów przez pustynię Synaj dostęp do tej zawartości mieli tylko wybrani kapłani a w końcu, gdy była już ukryta w świątyni, dostęp do niej miał tylko jeden kapłan raz w roku. Jednak nie tylko dlatego przekazy na ten temat są skąpe –



Średniowieczne ryciny przedstawiające skrzynię z Arką Przymierza.





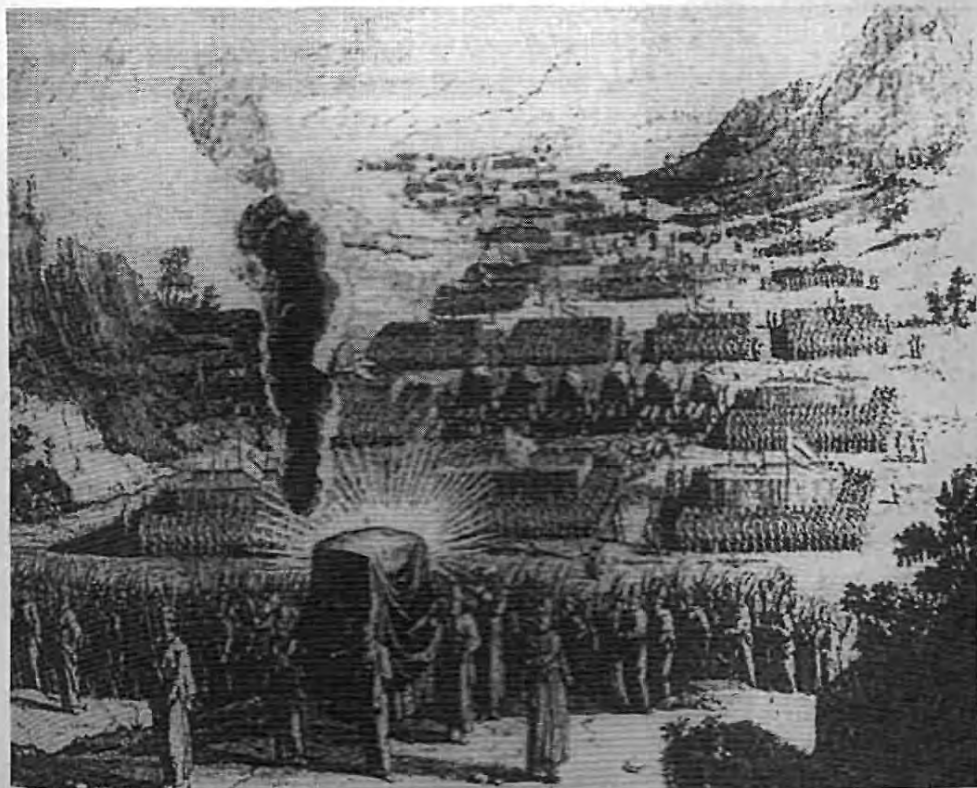
Inna średniowieczna rycina z Arką Przymierza.

była to bowiem rzecz dla Żydów przede wszystkim mocno wstydliva. Biblia niewiele ten problem rozjaśnia, niemniej warto zatrzymać się chwilę nad niejasnym opisem w niej zawartym:

... rzekł Pan do Mojżesza: *Oto ja spuszczę wam jako deszcz chleb z nieba. I wyjdzie lud, i będzie codziennie zbierał, ile mu potrzeba, abym go doświadczył, czy chce postępować według prawa mojego, czy też nie. (...) A gdy warstwa rosy się podniosła, oto na powierzchni pustyni było coś drobnego, ziarniste-go, drobnego niby szron na ziemi. (...) A Mojżesz rzekł do nich: To jest chleb, który Pan dał wam do zjedzenia. Oto, co rozkazał Pan: Zbierajcie z niego, każdy według tego ile potrzebuje do jedzenia, omer na głowę. Niechaj każdy zbierze według liczby osób, które należą do jego namiotu. Synowie izraelscy uczynili tak i zbierali, jedni więcej, drudzy mniej. A gdy to odmierzali na omery, ten, co zebrał więcej nie miał nadmiaru, a ten, co zebrał mniej, nie miał braku. Każdy zebrał tyle, ile mógł zjeść. I rzekł Mojżesz do nich: Niechaj nikt nie pozostawia z tego nic do rana. (...) Szóstego dnia zbierali pokarm w dwójnasób, po dwa omery na każdego. Wtedy przyszli przełożeni zboru i donieśli o tym Mojżeszowi. A on rzekł do nich: Tak powiedział Pan: jutro będzie wypoczynek, poświęcony Panu, dzień sabatu.(...) Przez sześć dni będziecie to zbierać, ale dnia siódmego jest sabat. W tym dniu tego nie będzie. A dnia siódmego wyszli niektórzy z ludu, aby zbierać, lecz nic nie znaleźli. I rzekł Pan do Mojżesza: Jak długo będziecie się wzbraniaли przestrzegać moich przykazań i moich praw? Patrzcie! Pan dał wam sabat. Dlatego daje wam też dnia szóstego, chleb na dwa dni. Zostańcie każdy w swoim miejscu, niechaj nikt w siódmy dzień nie opuszcza swego miejsca. Odpoczywał więc lud dnia siódmego. Dom Izraela nazwał ten pokarm manną,*

a była ona jak ziarno kolendra biała, a miała smak placka z miodem". (Exodus, XVI, 4, 14-19, 22, 23, 26-31).

Manna była substancją odżywczą (?) dostarczaną Żydom podczas wędrówki przez pustynię Synaj, dostarczaną przez kilkadziesiąt lat - dłużej niż wynosiła wtedy przeciętna długość życia (chyba musieli chodzić w kółko, bo pustynia Synaj ma szerokość nieprzekraczającą 200 km), przy czym, co warto zauważyć – przez cały ten okres rygorystycznie egzekwowano zasadę, aby wędrujący z Egiptu ludzie (całe pokolenie) odżywiali się **wyłącznie** „manną”. Trzeba więc sobie szczerze przy tej okazji powiedzieć: nie chodziło o to aby zaspokoić ich głód, ale o to aby jedli tylko to – żywność syntetyczną. Jeszcze dwa fakty zasługują na szczególną uwagę: po pierwsze regularność jej „dostaw”, przy czym w niedzielę była przerwa, za to w soboty pojawiały się porcje podwójne. Wyklucza to oczywiście jakiegokolwiek źródła naturalne. Po drugie, mowa jest o tym, że w każdy dzień powszedni rodzina otrzymywała jeden omer manny. Nie mniej i nie więcej. Stoi to chyba w sprzeczności z opisem przytoczonym wcześniej, według które-



Skrzynia z Arką Przymierza podczas wędrówki przez pustynię Synaj.



Graal i rycerze okrągłego stołu – rycina wykonana pod koniec Średnio-wiecza.

Obok: ostatni Wielki Mistrz Templariuszy, Jakub de Molay, spalony za herezję w 1314 r.



go tajemnicza substancja była zbierana z powierzchni pustyni, bo czyż można by wtedy mówić o ściśle odmierzonych porcjach? Oczywiście Biblia nie wspomina o samym, bezpośrednim źródle manny. Manna była i już... Opisy takie pojawiają się jednak w źródłach żydowskich a wynika z nich, że źródłem manny była Arka Przymierza, a dokładniej – coś, co było w Arce przenoszone...

Oto fragment opisu autorstwa Mostowicza:⁹

>>„Stary Testament nie jest, jak wiadomo, jedynym źródłem do poznania historii Żydów tego okresu, jak też nie jest jedynym zbiorem dotyczącym religijnego prawodawstwa

żydowskiego. Nie mówiąc już o dziełach ściśle historycznych, jak na przykład Józefa Flawiusza „Starożytności żydowskie”, wiele komentarzy do wydarzeń historycznych, jak i komentarzy religijno-doktrynalnych zawiera Talmud, którego ostateczna redakcja zakończona została około 200 roku naszej ery. W Talmudzie spisane są, przekazywane ustnie przez setki lat, komentarze do Biblii. Lecz nie wszystkie te uzupełnienia przekazywane z pokolenia na pokolenie zostały w ostatecznej redakcji Talmudu uwzględnione i uwiecznione. Wiele z nich pozostało nie spisanych, dlatego przede wszystkim, że uznawane były za wyjątkowo tajne, a może nawet za zbyt niebezpieczne (z punktu widzenia doktrynalnego), aby je raz na zawsze spisać. Przekazywano je więc tylko ustnie. Aby zaś przekazać je bez błędu, uczono się ich na pamięć, aż dopiero w 1290 roku ta część komentarzy do Biblii została również utrwalona. Ukazała się pod nazwą „Księgi Zohar” („zohar” znaczy blask). Autorem spisanego tekstu „Zoharu” jest Żyd hiszpański Mozes de Leon, i właśnie ta księga, będąca podstawowym dziełem „Kabały” (kabala to po hebrajsku – tradycja), stanowiąca przekazywaną początkowo tylko ustnie interpretację prawa mozaistycznego, a także wykładnię pewnych faktów czy wydarzeń zawartych w Biblii, stała się punktem wyjścia dla fascynującej hipotezy Sassoon i Dale’a.”

Zwiera się George Sassoon:



Zamek Rennes-le-Chateau, jedno z miejsc, gdzie szukano Graala. (fot. M. Banaś).



Ruiny Montsegur - miejsce działalności Otto Rahna. (fot. M.Banaś).

w tej części, która tak zaintrygowała Sassoon – podobne tematy nie były nawet poruszane. Otóż część ta poświęcona była dziwnemu, dokładnemu opisowi istoty zwanej Wiekowym Starcem.

„Księga Zohar” wydana przez Mozesa de Leon jest, ściśle rzecz biorąc, streszczeniem wykładów, których autorem był kilkanaście wieków wcześniej rabin Szymon bar Jochaj. Najdziwniejszy jednak jest fakt, że tematem wykładów uczonego (który jest zresztą postacią historyczną) był opis budowy, jak też właściwości tego niezwykłego „czegoś”, co nazywane jest w „Zoharze” Wiekowym Starcem. Poznanie zaś detali tej budowy, jak też dokładnego działania poszczególnych organów Starca, jest tak ważne, że zdaniem Szymona bar Jochaja wystarczy wyuczyć się tych szczegółów na pamięć, aby dostać się do nieba.

Szczegóły budowy Starca? Otóż, jeśli wierzyć Szymonowi bar Jochaj, składał się ów Starzec z wielkiej głowy o kilku wklęsłościach, zaopatrzonej w brodę, nos, oczy oraz z

„W 1974 roku przypadkowo odkryłem książkę zawierającą tłumaczenie kilku części bardzo starego dzieła żydowskiego, dotyczącego religii, znanego pod nazwą „Zohar”. Na pierwszy rzut oka wydawała mi się treść tej książki czystą bzdurą. A w dodatku tłumaczem tego dzieła był angielski zwolennik czarnej magii, człowiek o nienajlepszej sławie. Mimo wszystko książka mnie zainteresowała. Przede wszystkim dlatego, że nie mogło mi się w głowie pomieścić, aby tego rodzaju ewidentne nonsensy mogły zabłądzić do dzieła par excellence religijnego”.

Nie trzeba tu chyba tłumaczyć, że książki religijne dotyczą bądź problemów moralistyki czy filozofii, bądź też zawierają dokładne wskazówki rytualne. Natomiast w tekście, który znalazł się w ręku Sassoon – a była to „Księga Zohar”, a właściwie

dwóch jąder i penis. To wszystko. Ciekawa to musiała być głowa, skoro z opisu wynika, że była ona przezroczysta, a w jej środku znajdowała się latarnia czy też inne źródło światła. W górnej części głowy Wiekowego Starca znajdować się miał mózg, w którym „destylowała się niebiańska rosa”. Rosa ta, przechodząc później przez inne części ciała Starca, przedostawała się z góry na dół, aż do jąder, w których się magazynowała, aby w końcu znaleźć ujście na zewnątrz przez penis.

Oddajmy ponownie głos Sassoonowi:

„Oczywiście, można mi postawić pytanie, jak do tego doszło, że będąc naukowcem i inżynierem straciłem wiele cennego czasu, aby zająć się poważnie tego rodzaju bzdurami. Otóż zrobiłem to z wielu przyczyn – najważniejszą jednak była ta, że owe teksty z opisem Wiekowego Starca od pierwszej chwili wydały mi się dziwnie, powiedziałbym, bliskie. Dopiero po pewnym czasie zdałem sobie sprawę z tego, że w owym tekście, w owym

opisie starca, chodzi w rzeczywistości o opis maszyny, opis dokonany za pomocą niezwykle zupełnie języka”.

Teksty, o których wspomina Sassoon, odznaczają się między innymi dużą ilością, niespotykanych na ogół w tego rodzaju dziełach, konkretnych danych, względnie informacji liczbowych. Tak na przykład uczeni rabini słuchający wykładów Szymona bar Jochaja dyskutowali nad ilością pojedynczych włosów, z których składać się miała każda z trzynastu części brody Starca. Albo też, czy każdy z tych włosów jest twardy względnie miękki i gdzie się te włosy zaczynają, a gdzie kończą?

Nietrudno przyszło zorientować się Sassoonowi, że brody, nad którą tak namiętnie dyskutowali rabini, brody Wiekowego Starca nie sposób porównać do zwykłej



Jedna z wież Rennes-le-Chateau. (fot. M. Banaś)

ludzkiej brody. Już chociażby dlatego, że włosy owej brody (wracam do tego charakterystycznego przykładu) wyrastają z jednej części oblicza Starca, a wrastają w drugą, – przy czym kształt ich jest nader skomplikowany i zawiły.

Liczby i cyfry przy opisie owego Wiekowego Starca dotyczą także wymiarów poszczególnych jego części czy organów. Jednostka miary jest tu dość niezwykła i nosi nazwę „światów”. Nie należy się tedy dziwić, że teksty „Kabały” są po dziś dzień dla wszystkich zwolenników mistyki i wiary w utajoną treść liczb, źródłem stałej inspiracji.

Kim wreszcie, wglądnie, czym był ostatecznie ów Wiekowy Starzec, którym się „Księga Zohar” tak szczegółowo zajmuje? Czy może jest w jakimś sensie identyczny z Bogiem? Nie, w żadnym wypadku! Nie wynika to z tekstu, a całą pewnością nie byłoby to zgodne z kanonami religii mojżeszowej, która w żadnych okolicznościach nie zezwalała na tak szczegółową analizę wyglądu Boga. Ów Wiekowy Starzec nie był więc Bogiem, ani nie był człowiekiem, jak to wynika z dalszych informacji. Czymże więc był? Z wielu szczegółów opisu widać, jak też wskazują na to wszystkie relacje „Zoharu”, że był to najprawdopodobniej jakiś przedmiot. Niezwykły przedmiot.

Tak, musiał to być przedmiot: ów Wiekowy Starzec nie mógł się sam poruszać. Wprawdzie „siedział na tronie”, ale musiał być przenoszony z miejsca na miejsce. Poza tym z opisu dowiedzieć się można, że znajdowało się w nim jakieś źródło światła i to światła różnokolorowego. No i poza tym, o czym była już mowa, wlewano w niego jakiś płyn, który krążył wzdłuż jego ciała. Itd., itd.”

Warto zauważyć, że „Wiekowy Starzec” wcale nie ma cech istoty antropomorficznej, jak chcieliby to widzieć Żydzi. Nie ma też cech boskiego tworu. Gdyby tak było, manna by się po prostu w cudowny sposób pojawiała, a nie była produkowana w wyniku procesu technologicznego.

Oto fragmenty szczegółowego opisu „Starca”, czyli – przypominam – zawartości Arki Przymierza, opartego na Księdze Zohar:⁹

Kiedy uczony Szymon bar Jochaj leżał już na łożu śmierci – próbował w kilku zdaniach streścić istotę tajemniczej wiedzy, której nauczał:

„Wszystkie świętości pochodzą z górnej głowy trzech czaszek. (...) To błogostwienie, płynące w naczyniach ciała, aż osiąga ono organy zwane wojskiem albo jądrami. Pozostaje tam tak długo, aż zostanie nagromadzone i przechodzi stamtąd do świętego początku. Jest ono białe i dlatego nosi nazwę łaski. Łaska ta znajduje się w Przenajświętszym (przybytku), jak powiedziane jest w Psalmie. (...)

Niebiańska Rosa z głowy spada do czaszki i tam jest przechowywana. (...) Z Rosy tej miałą mannę sprawiedliwych dla przyszłego świata. (...) A tylko w pewnym określonym czasie z owej Rosy tworzy się manna. Czas ten był wtedy, kiedy lud żydowski wędrował

przez pustynię. I wówczas odżywiał go w ten sposób Wiekowy Starzec. A potem nie można go było odnaleźć. Powiedziane jest: rzekł Pan do Mojżesza: Oto Ja spuszczę wam jako deszcz chleb z nieba." (...)

Z jednej strony mamy więc powołanie się na teksty biblijne mówiące o mannie, którą Żydzi żywili się podczas swojej wędrówki po pustyni, a z drugiej – tekst znacznie mniej znany, który przez blisko dwa tysiące lat uważany był za tajny, który był przekazywany ustnie, i to tylko specjalnie wybranym. I właśnie ten drugi tekst stwierdza, że manna była z jakiejś rosy, która zbierana była w górnej czaszce (w górnym zbiorniku?) istoty określonej jako Wiekowy Starzec (co, oczywiście, jest zupełnym nonsensem), następnie zaś przepływała przez jego ciało z góry na dół, aż znalazłszy się w „wojskach” (nawet określenie tego miejsca jako jądra też jest nonsensem – chyba, że chodzi tu również o zbiorniki) i wydostawała się na zewnątrz przez początek (chodzi tu o penis) Starca.

(Nie dziwny się, nota bene, że uznano za tajną i sekretną wiedzę o Starcu, który przez penis dostarczał Żydom boskiego pożywienia...).

Pewne pojęcie o faktycznej naturze „Starca” – źródła manny dają opisy niektórych części składowych, wraz z przypuszczalną interpretacją tych opisów:

- „(1) „Usta”, przez które, według „Zoharu”, przepływać miał oddech życia. Według Sassooni i Dale’a jest to dopływ powietrza do maszyny wraz z siatką do zatrzymywania nieczystości.
- (2) Rurka w kształcie pierścienia znajdująca się w
- (3) „mózgu” Wiekowego Starca. Jest nim podstawowe urządzenie do otrzymywania wody z powietrza. Gorące powietrze pustynne byłoby tu ochładzane na zimnej, szerokiej powierzchni (być może fałdowanej), a woda spadałaby w postaci kropel („niebiańskiej rosy”) do odpowiedniego zbiornika. To, co w „Zoharze” nosi nazwę „rosy”, jest właśnie otrzymaną z atmosfery wodą. „Mózg” jest więc czymś w rodzaju kondensatora „rosy”. Kondensator ten przykryty jest
- (4) „eterem”, albo inaczej jeszcze „przezroczystym zewnętrznym mózgiem” Wiekowego Starca, a w rzeczywistości prawdopodobnie jakąś przezroczystą masą plastyczną. Woda z kondensatora splywa do:
- (5) „wielkiego morza”, którym jest być może zbiornik z uprawą chlorelli w wodzie (bardzo pożywnego i szybko rosnącego, jednokomórkowego glonu), gdzie rozpoczyna się właściwa produkcja manny. Woda z chlorellą przechodzi przez:
- (6) „włosy z brody” Wiekowego Starca, – czyli rury, w których następuje wymiana gazowa (absorbowanego dwutlenku węgla na wydzielany tlen). W tych rurach woda (z chlorellą) naświetlana jest przez umieszczone wewnątrz zbiornika ze znajdującą się w wodzie chlorellą, źródło światła. Zbiornik z uprawą chlorelli zaopatrzony jest w:



Malowidło z kościoła w Rennes-le-Chateau przedstawiające demona Asmodeusza, strażnika tajemnicy Templariuszy a zarazem ilustrującego grozę i przerażenie związane z Baphometem.

(7) „resztę”, – czyli wentyl bezpieczeństwa i:

(8) „odpływy z mózgu”, – czyli wyloty ścieków. Ponadto zbiornik ten połączony jest z:

(9) „trzema dolnymi oczyma”, którymi są bardzo ważne zbiorniki zawierające sole mineralne, za pomocą:

(10) „kanałów dolnych oczu”, czyli rur łączących. Światło i energia niezbędne dla funkcjonowania maszyny pochodzą z:

(11) „naczyń zawierających ogień”.<<

Czemu miał służyć ten nieco przydługi wstęp, dlaczego od razu nie przeszedłem do opisu poszukiwań Graala? Oczywiście chodziło o dwie sprawy: przede wszystkim o pokazanie, że wbrew powszechnie powielanej opinii Graala nie można traktować w oderwaniu od Arki Przymierza (zresztą prawdopodobnie „Wiekowym Starcem” był późniejszy Baphomet). Po drugie, że Himmlerowi mogło nie chodzić wcale o posiadanie przedmiotu o charakterze mistyczno-symbolicznym. Ranga sprawy i miara obsesji Himmlera były zupełnie niewspółmierne w stosunku do samego Graala, podobnie jak niewspółmierna w stosunku do niego była ranga Arki Przymierza z „Wiekowym Starcem”. Wejście w posiadanie Graala jako kielicha nie byłoby żadnym wymiernym przełomem, jeśli spojrzemy na to z perspektywy III Rzeszy czy świata. Za to posiadanie skomplikowanego urządzenia czy systemu technicznego (wraz z ciekawym źródłem zasilania!), nie wyprodu-

10

kowanego na Ziemi, miałyby z pewnością całkiem konkretne konsekwencje. Co warto przy tym zauważyć: podobnie było ze sprawą Tybetu i towarzystwa „Vril”. Związki Himmlera z tym ostatnim też nie miały, wbrew często spotykanej opinii, charakteru wyłącznie mistycznego, ale stały za tym (głównie) cele czysto praktyczne i jak najbardziej wymierne. Pomimo wszystko Reichsführer SS nie był człowiekiem zupełnie bujającym w obłokach.

Po tym „naświetleniu problemu” możemy w końcu przejść do opisu samych poszukiwań...

Z inicjatywy króla Francji Filipa Pięknego, za przyzwoleniem Rzymu, zakon Templariuszy został oficjalnie rozwiązany w 1307 roku a jego legendarne dobra miały zostać przejęte przez skarb

Francji, dziwnym zbiegiem okoliczności opustoszały po licznych wojnach. Wzrok króla skierował się na Langwedocję, pogranicze z Hiszpanią, będące tradycyjną ostoją zakonu a w planach mające być niezależnym państwem Templariuszy. Mimo fali aresztowań i tortur, jakim poddano członków władz zakonu, prawie nic z bajecznych bogactw nie udało się zagarnąć. Jak kamień w wodę przepadł też Graal oraz budzący grozę i podziw „Baphomet”, mający zresztą być koronnym dowodem w oskarżeniu o herezję. Co się z tym wszystkim stało, nie wiadomo. Być może część dóbr wywieziono, chociaż byłoby to ryzykowne. Templariusze znaleźli się w otwartym konflikcie z Kościołem i np. w Hiszpanii również nie mogli się czuć zupełnie bezpiecznie. Wydaje się więc prawdopodobne, że duża część wspomnianych dóbr pozostała w Langwedocji, gdyż główne warownie i zamki zakonu były w istocie systemem potężnych jak na tamte czasy fortec. A jak wiadomo, średniowieczne fortece miały mnóstwo tuneli i lochów. Dobra Templariuszy nie były czymś, co można by załadować na parę wozów konnych...

Najbardziej interesujące od początku wydawały się warownie Rennes-le-Chateau i Montsegur, jednak, o dziwo, aż do czasów III Rzeszy nigdy nie prowadzono tam zorganizowanych, poważnych poszukiwań! Wspomniane miejsca są o tyle ciekawe, że formalnie podlegały one władzom w Mas Dieu, co oznaczało, że były wyłączone spod jurysdykcji króla Francji. Był to wtedy teren znajdujący się, można by rzec, we władaniu zaprzyjaźnionych z Templariuszami Katarów. Tym mianem określano odszczepieńców, sektę stanowiącą heretycki odłam chrześcijaństwa. Z inicjatywy Rzymu przez obszar ten



Otto Rahn.

kilkakrotnie przetoczyły się fale krucjat. Warownie otoczono i zdobyto, lecz, jak wspominałem, po skarbach nie było śladu.

Mijały wieki, przez scenę historii przetaczały się różne grupki i loże, ale wszystkim brakowało możliwości prowadzenia poszukiwań na odpowiednią skalę: władzy, środków finansowych i możliwości czysto technicznych, jakie „wniosło” w XX wieku himmlerowskie państwo w państwie.

Przenieśliśmy się więc w wiek dwudziesty...

Cała sprawa zaczęła się na początku lat trzydziestych od badań, niezwykle kompleksowych i fachowych, prowadzonych przez pewnego Niemca – Otto Rahna. Zbierał on materiał do książki, wydanej w 1933 roku, czyli akurat w roku dojścia nazistów do władzy, pod tytułem „Kreuzzug gegen den Graal” – „Krucjata przeciwko Graalowi”. Okazała się ona prawdziwą rewelacją i nie tyle zaciekała Himmlera, bo sam temat był mu dobrze znany, co skierowała wzrok Reichsführera na osobę autora. Sprzyjał temu fakt, że osobowość Rahna była w istocie ciekawa. Na pierwszy rzut oka był to człowiek niepozorny, ale książka zdradziła, że jest prawdziwym ekspertem a poza tym chodziła fama, że Rahn ma niezwykle zdolności paranormalne. Można sobie wyobrazić, że była to osoba dla Himmlera wymarzona, która, co równie ważne, pojawiła się w zasięgu jego wzroku w najlepszym możliwym momencie. Fakt, że mimo sukcesu książki, (nad którą pracował pięć lat), Rahn nie miał pieniędzy, był dodatkowym plusem.

Himmler dotarł do niego bardzo szybko, pomimo że znajdował się on wtedy we Francji. Pewnego dnia, 1933 roku, otrzymał on tajemniczy telegram od nieznanego nadawcy, oferujący niezłą, stałą pensję – tysiąc marek miesięcznie, w zamian za napisanie książki, mającej stanowić rozwinięcie pierwszej. Innymi słowy, chodziło o kontrakt na kontynuację badań. Wraz z telegramem dotarła pokaźna sumka „na pokrycie kosztów przeprowadzki”. Tak rozpoczynała się błyskotliwa kariera trzydziestoletniego pisarza, który sam dla siebie nie widział żadnej przyszłości.¹⁰

Powyższe okoliczności sprawiły, że już kilka dni później Rahn był w Berlinie, gdzie zjawił się pod wskazanym adresem. Taka przynajmniej jest wersja oficjalna, są jednak przesłanki wskazujące, że współpracował on w tajemnicy z SS już wcześniej, podczas zbierania materiałów do książki, i że była to współpraca na wysokim szczeblu. Mianowicie Christian Bernadac, który znał Rahna osobiście i napisał o nim książkę podaje, że już w 1932 roku, podczas podróży po południowej Francji towarzyszył Rahnowi tajemniczy osobnik (francuska policja ustaliła, że legitymuje się dwoma paszportami i doprowadziła do jego deportacji), podający się za amerykańskiego dziennikarza, fotoreportera. W pewnej sprzeczności z tym stał wyraźny niemiecki akcent. Oficjalnie nazywał się Natt Wolff a naprawdę, jak się później okazało: Karl Wolff, czyli szef osobiste-

go sztabu Himmlera, SS-Gruppenführer, a więc generał! To jednak epizod, jaki miał nie przedostać się do wiadomości publicznej.¹⁰ Oficjalnie Rahn wstąpił do SS 12 marca 1936 roku, pomimo że jego matka była Żydówką – czy Himmler mógł o tym nie wiedzieć???

Jego znajomy z Francji, Paul Ladame tak opisał niezwykle spotkanie, do którego niedługo po tym doszło:¹⁰

„Ponownie spotkałem Rahna w lipcu 1936 roku. Było to w przeddzień otwarcia Igrzysk Olimpijskich, a ja przyjechałem do Berlina jako dziennikarz. Korzystając z pięknej pogody przechadzałem się po Kurfürstendamm, gdy nagle, na końcu Joachimstalerstrasse ujrzałem Rahna. Ku mojemu zdziwieniu miał na sobie kompletny mundur SS z naszytą na ramieniu swastyką z napisem „Leibstandarte Adolf Hitler”. Zamiast się z nim przywitać, wykrzyknąłem: - Mój drogi Otto, co ty wyprawiasz w tym mundurze?

Otto zatrzymał się, rozejrzał nerwowo, i poblady, z zaciśniętymi ustami wykrztusił: - Mój drogi Pawle, trzeba przecież za coś żyć.”

Wskazywałyoby to na powody czysto materialne, ale czy mogło tak być w przypadku badacza i pisarza, który tylko dzięki temu miał możliwość samorealizacji? W każdym razie na pewno został on doceniony, jako że już rok później miał stopień oficerski, przeszedł zresztą coś w rodzaju stażu w obozie w Dachau. W Berlinie w zamian za kontynuację badań dostał nie tylko regularną pensję, ale też 4 tys. marek zaliczki „na urządzenie się”, zwrot kosztów przeprowadzki oraz własny gabinet wraz z przydzieloną sekretarką. Himmler poinformował go zresztą o tym wszystkim osobiście. Jak wspominał Bernadac:

„Przez kilka pierwszych miesięcy od powrotu z Paryża Rahn pławił się w szczęściu – po raz pierwszy w życiu był bogaty, nie nękały go kłopoty materialne, nie odczuwał lęku przed jutrem. Potem, stopniowo, zaczął odczuwać pewien niepokój: było jasne, że w zamian za tę niezwykłą szczodrość oczekiwano czegoś od niego. Z początku sądził, w swojej naiwności, iż zwierzchnicy Trzeciej Rzeszy chcieli tylko (czym niejednokrotnie się chwaliли) wynagrodzić mu rozczarowanie, jakiego doznał, gdy Weimar nie poznał się na jego talencie. W miarę upływu czasu jednak zorientował się, iż wcale nie był przedmiotem bezinteresownej troski, lecz celem interesów Himmlera. A co gorsza, zupełnie nie mógł się zabrać do napisania tej książki. Nie był wcale na to przygotowany – wydawało mu się, że napisanie jej nie będzie stanowiło dla niego żadnego problemu, zwłaszcza, że głowę miał pełną pomysłów, a szuflady w jego biurku aż pękały od rękopisów, szkiców, projektów, notatek i studiów (filozoficznych, politycznych, literackich, historycznych). Miał też pełną swobodę w wyszukiwaniu dokumentacji i nieograniczony dostęp do cennych dzieł, mógł do woli szperać po bibliotekach i archiwach. I miał wielu przyjaciół do pomocy oraz oddaną i rzetelną sekretarkę do swojej wyłącznej dyspozycji.

Pewnego dnia zauważył, że ktoś szperał w jego rzeczach podczas jego nieobecności. Innego dnia zaskoczyło go, gdy któryś z jego przełożonych wspomniał o sprawie, o której prócz niego mogła wiedzieć tylko sekretarka.

Potem odkrył, że ktoś otworzył jego listy i że telefon, z którego korzystał był na podstuchu. Zaś comiesięczne ćwiczenia „dla zdrowia” zamieniły się w cotygodniowe wykłady z wojny psychologicznej, taktyki przesłuchań i innych ćwiczeń praktycznych.”

„Taktyki przesłuchań” – czyżby Himmler z góry zakładał, że Rahn będzie działał na terytorium okupowanym (francuskim), stosując metody wydobywania zeznań w celu ustalenia prawdy o Graalu?

Początkowa beztroska pisarza – idealisty bardzo szybko odeszła w przeszłość w miarę jak Rahn stopniowo zdawał sobie sprawę, czy raczej wyczuwał realia, w jakich się znalazł. Miał wrażenie, że jest elementem w jakiejś sterowanej z zewnątrz grze, była to rzeczywistość śmiertelnie poważna, niebezpieczna, wręcz przerażająca. Dziwne wydarzenia rozgrywały się wokół, na które Rahn nie miał najmniejszego wpływu. Oto przykład ze wspomnień Bernadaca:¹⁰

„Gdy wracałem na Immelmannstrasse, (a było to po ukończeniu nagrań do Radia Genewa) moja ciotka powiedziała mi, że niejaka pani S. wielokrotnie do mnie dzwoniła, i prosiła o pilny z nią kontakt. Natychmiast więc zadzwoniłem do niej. Zmienionym głosem błagała mnie, bym natychmiast do niej przyjechał, po czym rozłączyła się.

Kiedy przyszedłem do niej pół godziny później, pani S. już na mnie czekała. Miała zaczerwienione od płaczu oczy i była bliska hysterii, ale starała się opanować. Państwo S. mieszkali w eleganckiej dzielnicy Zehlendorf, niedaleko Krumme Lanke. Mieli wille z małym ogródkiem. Często bywałem u nich z Rahnem. Pan S. był specjalistą w dziedzinie kultury antycznej ludów germańskich. To dlatego Partia powołała go na stanowisko dyrektora miesięcznika Nordland. S. miał stopień Obersturmbannfuhrera S.S. i zadanie specjalne do wykonania: udowodnić, że współcześni Sonnenmenschen mają wspólne korzenie z ich antycznymi przodkami. (...)

Pani S. bez słowa wpuściła mnie do środka. Jej wzrok zdawał się mówić: „Niech sam pan zobaczy...”

Mieszkanie wyglądało jak po przejściu tornada - wypatroszone szafy, ogołoczone szuflady walały się po podłodze. Półki biblioteczek wiały pustką, wszędzie było pełno pierza z rozdartych poduszek i pierzyn.

Ale pani S. sprawiała wrażenie, jakby tego nie dostrzegala. Siedziała zgarbiona na krześle i drżącym, ledwie dostyszalnym głosem szeptała: „Mój syn, zabrali mojego syna...”

Jej trzyipółletni synek, uroczy chłopiec, blondynek z kręconymi włoskami, którego uczyłem rysować galopujące konie! A w dodatku chrześniak Otto Rahna!

Wtedy pani S. opowiedziała mi o swoich kłopotach ze służącą: dwa tygodnie temu opuściła ich opiekunka do dziecka, ponieważ wychodziła za mąż. Pan S. szukał kogoś odpowiedniego na jej miejsce, dlatego zgłosił się do Służb. To oni mieli się wszystkim zająć. Dzisiaj rano przystano im nową opiekunkę. Pani S., chcąc skorzystać z wolnego czasu wybrała się na zakupy, potem do kina, a po filmie miała zamiar odwiedzić męża w pracy. Z budki telefonicznej zadzwoniła do domu, aby uprzedzić nową służącą, że wróci później.

W słuchawce odezwał się nieprzyjemny męski głos. Pani S. sądząc, że pomyliła numer telefonu zapytała jeszcze dla pewności, czy dodzwoniła się do państwa S. Mężczyzna potwierdził krótkim, szczekliwym „tak”.

Wtedy p. S. pomyślała, że nowa służąca zaprosiła do siebie kochanka i zapytała oburzona: „Co pan robi w moim domu?”

„Jak chce pani wiedzieć, to niech pani sama tu przyjdzie” - arogancko odpowiedział mężczyzna. Nagle spanikowana, p. S. krzyknęła: „Mój syn! Gdzie jest mój syn?”

„Pani już nie ma syna!” zabrzmiało złowieszczo w słuchawce.

Pani S., przerażona, zadzwoniła do męża do pracy. Telefon odebrała nieznana jej osoba i kazała trzy razy powtórzyć sobie nazwisko pana S., aż wreszcie odpowiedziała: „Tu nie ma żadnego Obersturmbannfuhrera S. Zresztą nie ma i nie będzie już żadnego Obersturmbannfuhrera S., Gnadige Frau!” I nieznajomy głos odłożył słuchawkę.

Nieprzytomna ze strachu, p. S. zatrzymała taksówkę i pojechała do domu. Gdy była już blisko, minęła ją duża ciężarówka, jakich używa się przy przeprowadzkach - pod eskortą kilku czarnych limuzyn. W środku siedzieli uzbrojeni mężczyźni w czarnych mundurach. Ulica była pusta, nikt nie przechodził, żadne dziecko się nie bawiło. Drzwi do jej domu były szeroko otwarte, a całe mieszkanie zdewastowane. To wtedy do mnie zadzwoniła.

Obiecałem jej, że wrócę do niej później. Cóż innego można powiedzieć w takiej sytuacji?

Wracając do siebie, wstąpiłem po drodze do Rahna, ale nie zastałem go. Zanim położyłem się spać, jeszcze kilka razy do niego dzwoniłem, ale nikt nie odbierał. Spałem bardzo niespokojnie, ogarniał mnie lęk, którego nie potrafiłem wyjaśnić. I to mnie przerażało. Zrozumięją mnie wszyscy ci, którzy żyli w państwie totalitarnym.

Następnego dnia strach ten przybrał na sile, kiedy ciotka przyszła do mojego pokoju powiedzieć mi, że jakiś przyjaciel S. chce się ze mną spotkać.

Nieznajomy wywarł na mnie dobre wrażenie, był ubrany w sportowy garnitur, do butonierki miał przyczepioną odznakę Partii. Wzbudzał zaufanie, ale ja nagle zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z niebezpiecznym szpiegiem.

Przedstawił się jako dr Bade. Nie znałem go. Powiedział mi, że wczoraj aresztowano S. (z tonu jego głosu domyśliłem się, iż doskonale wiedział o mojej wczorajszej wizycie u pani S.) i że zbiera teraz opinie o S. wśród jego przyjaciół, by zdobyć dowody na jego niewinność. Całe to aresztowanie było według niego dużym nieporozumieniem, być może wynikiem przesadnej gorliwości któregoś z podwładnych. I dlatego moje świadectwo w sprawie S., opinia zagranicznego dziennikarza pozostającego poza sferą wszelkich podejrzeń mogło by okazać się bardzo cenne. Lecz w dalszej części rozmowy dr. Bade nawet nie usiłował ukryć, że najbardziej interesowały go moje odpowiedzi na pytania o Otto Rahna.”

Powyższy opis stanowi zaledwie próbkę, jak się z czasem okazało dochodziły do tego np. podsłuchy telefoniczne założone u osób znających Rahna. Świadczy to o tym, że był on bardzo wnikliwie sprawdzany, ale patrząc bardziej ogólnie, również o tym, jak poważna gra toczyła się wokół jego osoby. A Rahn był, nie oszukujmy się, zaledwie drobnym elementem w tej grze, początkującym pisarzem. W sprawę byli bezpośrednio zaangażowani: Himmler i szef SD Heydrich, Wolff i t.p. Problem w tym, że jak z tego wynika, znamy zaledwie czubek góry lodowej, jaką stała się cała sprawa, przy czym niedługo po tym nawet ten czubek skrył się pod powierzchnią mętnej otchłani...

Skutki wydarzeń opisanych w zacytowanej powyżej relacji, czy raczej cel tych „gier” mógł polegać nie tylko na sprawdzaniu Rahna, ale również na poddaniu go silnej presji. Musiał on zrozumieć, że nie może być żadnego lawirowania, że musi jednoznacznie opowiedzieć się po określonej stronie, z pełnym zaangażowaniem i wszelkimi konsekwencjami, jakie narzucała ranga sprawy.

I jeśli w ogóle Rahn się wahał, to w każdym razie pod koniec 1936 roku sprawiał już wrażenie, jakby w pełni wczuł się w nową rolę. Oto opis Ladame'a:¹⁰

„Wsiadłem do opla mego wuja i pojechałem na Grunewald. Było wpół do pierwszej w nocy, kiedy Rahn otworzył mi drzwi, które natychmiast za sobą zamknął. Skinął, bym wszedł do jego biura. Pokój tonął w mroku, zastłony były szczelnie zasunięte, tylko jedna lampka paliła się nad biurkiem. W popielniczce piętrzył się stos niedopałków, do połowy opróżniona butelka z armaniakiem stała na małym stoliku wraz z dwoma kieliszkami, z których jeden z pewnością był używany. To wydało mi się bardzo dziwne, ponieważ o ile Rahn dużo palił, to prawie wcale nie pił. Na jego biurku, zwykle zawalonym stertą książek, notatek, słowników i gazet panował idealny porządek, jak gdyby Rahn wrócił po długiej nieobecności lub przeciwnie - zrobił porządek przed dłuższą podróżą.

Lecz najbardziej zdumiewające było to, że Rahn miał na sobie wielki czarny mundur z guzikami pod samą szyję. Jego buty błyszcząły jak lustro, a puginał z wrytą swastyką wisiał u pasa, podkreślając szczupłą talię.

To już nie był mój przyjaciel pisarz. Człowiek, który stał przede mną był SS-manem na służbie.

Rahn nigdy przedtem nie przyjął mnie w mundurze. Wiedziałem, że nie cierpi tej swojej „liberii” i że zrzuci ją z siebie natychmiast po przyjściu do domu. A tego wieczoru stał przede mną w pełnym umundurowaniu. Nawet jego czapka leżała na biurku. Zgodnie z regulaminem spod takiej czapki nie miał prawa wystawać żaden włos. Machinalnie spojrzałem na jego głowę - był świeżo ostrzyżony, przepisowo ogolony na sześć centymetrów powyżej uszu.

Bez słowa, nie prosząc bym usiadł, Rahn podszedł do stolika, napełnił oba kieliszki i podał mi jeden. Gdy unosił swój kieliszek do ust, ze zdumieniem spostrzegłem, że lekko stuknął obcasami jednocześnie pochylając się nieznacznie, zupełnie jak Stroheim w „Wielkim złudzeniu”. Miałem już parsknąć ze śmiechu z tej nieoczekiwanej maskarady, lecz poczułem na sobie jego lodowate spojrzenie. W stalowych źrenicach Rahna dostrzegłem rozpacz, niemoc i ogromne zmęczenie. Patrząc tak na mnie, odezwał się nie swoim głosem, lecz tonem biurokraty kładącego nacisk na każdą sylabę: Paul, byłeś dzisiaj w ambasadzie Sowietów na Unter den Linden. Wszedłeś tam o 11.43, a wyszedłeś o 11.58. To dowód, że sprzyjasz tym ludziom! O 13.30 byłem na posiedzeniu zwołanym przez Reinhardta Heydricha. To on mi o tym powiedział i pokazał mi zdjęcia, na których widać jak parkujesz opla twojego wuja przed ambasadą. Otrzymałem rozkaz by cię śledzić. Co dwie godziny mam sporządzać o tobie raport: co robisz, z kim się spotykasz, dokąd idziesz...

Tu Rahn przerwał, zawahał się. Wyraźnie ważył każde słowo zanim je wypowiedział. Wciąż patrzył mi w oczy, a na koniec dodał: Paul, od wczoraj kiedy odwiedziłeś panią S. jesteś obserwowany. Wiesz, co to znaczy. Mogę tylko jedno ci poradzić: Zmiataj stąd jak najszybciej, nie chcę cię więcej widzieć!

Prawie to wykrzyczał, a potem podniósł do ust swój kieliszek i opróżniwszy całą zawartość wrzucił go do kominka. Potem obrócił się na piętach i otworzył mi drzwi.

Wtedy po raz ostatni widziałem Otto Rahna, a było to szóstego grudnia 1936 roku o pierwszej w nocy.”

Rahn był oficerem osobistego sztabu Reichsführera, a dokładnie przydzielony był do specjalnej komórki o kryptonimie „Weisthor”. Kierował nią SS-Oberführer (później Brigadeführer) Karl Maria Wiligut, znany również jako Weisthor, od nazwy wyższej komórki.

Był on w sztabie Himmlera osobą odpowiedzialną za sprawy związane z zamkiem Wewelsburg. Jak można się domyślać, wiedza o jego działalności jest bardzo fragmentaryczna...





Na zdjęciach: Obergruppenführer Karl Wolff na zamku Wewelsburg z Himmlerem oraz jego zdjęcie z akt personalnych..

Zresztą i o tym, co działo się z samym Rahnem w latach po opisanych powyżej wydarzeniach (1937-1938) też wiemy niewiele. Formalnie pisał drugą książkę – „Luzifers Hofgesind” („Dwór”, czy raczej „Świta Lucyfera”), ale przecież nie o książkę Himmlerowi chodziło.

Potem wydarzyła się rzecz jeszcze dziwniejsza – 13 marca 1939 roku Rahn oficjalnie zginął w wypadku, jednak towarzyszące temu niezwykle okoliczności każą krytycznie patrzeć na tą wersję. Ciała zresztą nigdy nie znaleziono. Rahn miał jakoby zginąć w lawinie śnieżnej. Nie to jednak jest najdziwniejsze, lecz przede



wszystkim fakt, że sztab Himmlera robił wszystko, aby uzyskać maksymalne nagłośnienie tej „śmierci”. Przyjrzyjmy się tym okolicznościom...

17 marca 1939 roku Karl Wolff zwalnia Rahna z SS. Zwalnia... trupa? Jak to jest w ogóle możliwe? 18 maja tenże Wolff zamieszcza, jako szef sztabu Himmlera, nekrolog w berlińskiej prasie z jego podpisem. Powiadamia w nim, że zalem, o śmierci „swojego” oficera. To już jest wydarzenie bez precedensu. Praktycznie nigdy zwierzchnicy nie powiadamiali o śmierci swych podwładnych w formie nekrologów, tym bardziej trudno wyobrazić sobie sytuację, w której generał rozsyła nekrologi o śmierci podporucznika. Tym bardziej, że „teoretycznie” sam go zwolnił ze służby.

Aż dziwne, ale to właśnie kopia nekrologu, wraz z listem ojca Rahna powiadamiającym Związek Pisarzy Rzeszy o śmierci syna, zostały włączone do kartoteki osobowej w charakterze dowodu zgonu. Bo przecież de facto żadnego dowodu nie było. To zresztą również jest dziwne, bo przecież zazwyczaj zwłoki człowieka przysypanego śniegiem odnajdują się prędzej czy później. Oczywiście nic takiego nie miało miejsca.

Jak to wszystko należy rozumieć?

Otto Skorzeny („pierwszy komandos III Rzeszy”) zapytany kiedyś o to po wojnie stwierdził, że był to przypadek w pewnym sensie normalny. Tak zmieniano ludziom tożsamość.¹⁰ Był to chleb codzienny specjalistów Himmlera, Heydricha, Schellenberga i Canarisa. Robiono tak zwłaszcza w przypadku ludzi, którzy mogli w jakimś sensie „wpaść w oko” służbom specjalnym przeciwnika. A Rahn na pewno się do takich zaliczał. Trudno wręcz wyobrazić sobie możliwość utrzymania np. poszukiwań w tajemnicy, jeśli miałby otwarcie uczestniczyć w nich Otto Rahn. Był, po sukcesie swej książki, zbyt znany. Ściągałby tylko uwagę. A przy tym, jak wspomniałem, jest chyba oczywiste, że Rahn nie dostawał pieniędzy tylko za pracę literacką, jak być może łudził się na początku. Miał do wykonania określone zadania! W przeciwnym razie nie byłby w ogóle wciągany w szeregi SS. Niestety na tym ślad związany z jego osobą się urywa.

Wkrótce po tym jednak zmieniła się sceneria wydarzeń. Rozpoczęła się wojna a Francja skapitulowała latem 1940 roku. O ile do tej pory można było mówić o fazie badań, przygotowań i rozpoznania, to teraz pojawiły się symptomy realizacji. Bezpośrednio po zajęciu Francji na jej południu, a dokładniej w miejscach znanych z historii Templariuszy, zjawił się jeden z najbardziej zaufanych ludzi Himmlera i najlepszy spec od różnych operacji specjalnych – Otto Skorzeny. Zjawił się ze swymi ludźmi i „bawił” we wspomnianych miejscach co najmniej trzy miesiące, niemalże pomijając zresztą później ten epizod w swej biografii. Jest to tym bardziej dziwne, że

Skorzeny był „ekspertem” od rozpoznania głębokich tyłów nieprzyjaciela oraz akcji dywersyjnych i jeśli zamiast uczestniczyć w przygotowaniach do ataku na ZSRR, całymi miesiącami „wypoczywał” w Langwedocji, to na pewno nie mogło się to dziać bez poważnego powodu. Dopiero niemal w przeddzień ataku, w czerwcu 1941 roku Hitler wezwał go na wschód.

Jednak, gdy tylko zmieniły się okoliczności, Skorzeny znowu został wysłany na południe Francji. Oczywiście sam twierdził później, że w ogóle nie słyszał o czymś takim jak Graal, ale trzeba mieć na uwadze, że brał on po wojnie udział w tzw. „ewakuacjach strategicznych”, został m.in. bliskim współpracownikiem prezydenta Argentyny Perona. O ile mi wiadomo, o tych sprawach również nie pisał ani słowa. Przyjrzyjmy się więc po prostu faktom...

Rozpoczęcie wojny ze Związkiem Radzieckim spowodowało zapewne, że Himmler postanowił odłożyć działania specjalne na południu Francji na okres powojenny, to znaczy na czasy po zwycięstwie. Najwyraźniej poczuł się jednak zmuszony do zrewidowania tych poglądów, gdyż Skorzeny znowu zaczął się pojawiać w interesujących nas miejscach po brawurowej akcji uwolnienia Mussoliniego. Tak jakby Himmler zdał sobie sprawę, że może utracić wciąż istniejącą okazję, że Niemcy mogą zostać wyparci z Francji.

Wiadomo z całą pewnością, że Skorzeny przebywał w interesującym nas rejonie, po raz ostatni, od początku 1944 roku, co najmniej do końca marca. Wiadomo nawet, że robił coś dokładnie w rejonie zamku Montsegur (miejsce najbardziej podejrzane) w połowie marca, gdyż grupa pielgrzymów chcących udać się na zamek dobrze zapamiętała, że osobą, która musiała wyrazić na to zgodę był właśnie Skorzeny.⁵ Sądzę, że skutecznie rozwiewa to wątpliwości, co do zadań, jakie realizował czy kontynuował on wtedy w Langwedocji.

Wiadomo też, że w kwietniu w pobliskiej Tuluzie był sam Himmler. Wizytował on 2 Dywizję Pancerną SS, która została przerzucona tam z frontu wschodniego. Fakty te budzą wprawdzie zastanowienie, jednak niestety to w zasadzie wszystko, co wiadomo na ten temat. Nie ma nawet pośrednich przesłanek, które by wskazywały, że Himmler znalazł na południu Francji skarby „nie z tej ziemi”. Trzeba jednak pamiętać, że nigdy, ani wcześniej ani później, nikt inny nie prowadził tam poszukiwań dysponując porównywalnym potencjałem i równie nieograniczoną władzą.

Jest to jedna z tych tajemnic Himmlera, która prawdopodobnie nigdy nie doczeka się całkowitego wyjaśnienia. Badania tej sprawy ujawniły jednak niezwykle, a dotychczas zupełnie pomijany wątek, który może się okazać dużo bardziej intrygujący. Okazuje się mianowicie, że „trop francuski” nie jest wcale jedyny (w tym przypadku

chodzi o Arkę Przymierza) oraz oczywiście, że w tym drugim przypadku również istnieje, dosyć niezwykły zresztą, związek z działalnością Himmlera! To jednak temat niemalże na odrębną publikację. Do sprawy tej jeszcze wrócimy.

Ciąg dalszy nastąpi...

SCHAUBERGER

- LEONARDO DA VINCI TRZECIEJ RZESZY?

Był październik 2000 roku, gdy wraz z brytyjskim ekspertem – Nick'iem Cook'iem z Jane's Defence Weekly, jechałem przez Góry Sowie i Czechy do Austrii, do jednego z najpiękniejszych jej zakątków, u podnóża Alp. Celem naszej „misji” była miejscowość Bad Ischl koło Salzburga, a dokładniej posiadłość rodziny Schaubergerów, spadkobierców do dziś niejasnego, kontrowersyjnego dziedzictwa Viktora Schaubergera, odkrywcy samouka, znanego dotychczas głównie z działalności realizowanej w latach trzydziestych XX wieku. To, że do tej wyprawy w ogóle doszło było niemalże cudem i jest wyłączną zasługą Cooka. Problem w tym, że rodzina Schaubergerów wcale nie jest zainteresowana popularyzacją odkryć „dziadka” a zwłaszcza tych z okresu III Rzeszy. Wręcz przeciwnie! W każdym pytaniu wietrzą podstęp i generalnie nie utrzymują kontaktów z dziennikarzami. Wręcz jakby chcieli, aby wiedza ta (autentyczna czy nie) jako całość nigdy nie ujrzała światła dziennego. Rzecz równie niezwykła jak sam charakter działalności Viktora Schaubergera. Do tego, co zaszło w trakcie wspomnianej wizyty i do własnych obserwacji jeszcze wrócę, jednak najpierw spróbuję przedstawić coś w rodzaju syntezy wiedzy dotyczącej wspomnianej osoby na podstawie istniejących źródeł i zapewniam, że mimo „wariackiego” charakteru opisanych odkryć (takie przynajmniej można chwilami odnieść wrażenie) sprawa jest autentycznie ciekawa i wcale nie tak prosta do zdyskredytowania jak to może się komuś wydawać na pierwszy rzut oka.

Nie, jest to autentycznie jedna z ciekawszych tajemnic XX wieku.

V. Schauberger urodził się 30 czerwca 1885 roku w rodzinie drwala, osiadłej koło miejscowości Holzschlag nad jeziorem Plockenstein w Austrii. Był on potomkiem starego rodu arystokracji bawarskiej, który w wyniku konfliktu z miejscowym biskupem stracił w XIII wieku wszelkie przywileje i majątek. Ojciec Viktora, Stephan wyznawał motto „Fidus in silvis Silentibus” (wierny cichemu lasowi), w takim też duchu wychował swych pięciu synów, z których piąty – Viktor stał się prawdziwym „dzieckiem natury”. Obserwacja dzikiego leśnego życia, rwących, krystalicznych strumieni i zjawisk przyrody z tym związanych stały się od początku jego pasją.

W oparciu o stworzoną przez siebie wiedzę doprowadziło go to do wielu odkryć, przede wszystkim związanych ze zjawiskami występującymi w wodzie. Największe zna-

czenie miało jego odkrycie zjawisk zachodzących w wirach wodnych.

Schaubeger studiował na wydziale leśnictwa, jednak studia przerwał, zostając w końcu nadleśniczym w lasach księcia Adolfa Schaumburg -Lippe, sprawując pieczę nad 210 km² jego posiadłości. W trakcie pełnienia tej funkcji młodzieńcza pasja obserwatora przyrody jeszcze się wzmogła z powodu obserwowanych sprzeczności pomiędzy wyuczoną teorią a obserwowaną praktyką. W 1930 roku odkrycia Schaubegera stały się już na tyle doniosłe, że przy poparciu profesora Forcheimera, zostały spisane w formie traktatu.

Prace te, choć kontrowersyjne, cieszyły się dużym zainteresowaniem, czego najlepszym dowodem było objęcie patronatu nad nimi przez samego Hitlera, i to już w 1934 roku.

Nie wszystko jednak, co twierdził Schaubeger miało sens. Szczerze mówiąc, większość sensu nie miała. W odkrytych przez siebie, występujących w wodzie zjawiskach dopatrywał się życia, podobnym siedliskiem życia miała być m.in. krew, mawiał: „Serce nie pompuje - ono jest pompowane”. Odkrytym przez siebie zjawiskom, które nazwał „implozyjnymi” obsesyjnie przeciwstawiał eksplozję i wszystkie wykorzystujące ją urządzenia (m.in. silniki spalinowe) jako źródło przyszłego zniszczenia świata.

Po wojnie, jego pracami nad napędem zainteresowali się Amerykanie. Pod koniec 1957 roku zaprosili go do USA, gdzie w ciągu ponad trzech miesięcy przekazał im całą posiadaną przez siebie wiedzę. Wrócił do Austrii we wrześniu 1958 roku, gdzie pięć dni później zmarł w wyniku doznanego załamania nerwowego, powtarzając słowa: *„Zabrali mi wszystko, wszystko, nawet nie mam prawa do samego siebie”*.

Funkcja, jaką Viktor Schaubeger objął w dziewiczych lasach księcia Schaumburg -Lippe koło Bernerau była nie tylko spełnieniem jego marzeń z młodych lat, ale stworzyła mu także idealne warunki do prowadzenia pracy badawczej. Jego pierwszą naprawdę ciekawą obserwacją było zauważenie związku pomiędzy różnymi własnościami wody a jej temperaturą, uważał on, że woda osiąga najwyższą jakość w temperaturze +4°C, przy braku światła słonecznego, które osłabia jej energię. Jednym z powodów tego było intrygujące zdarzenie, zaobserwowane na górskim zboczu. Znajdowało się tam, osłonięte kamienną konstrukcją źródło, istniało ono od wieków, zasilając pobliski strumień. Pewnego dnia jednak, kamienną osłonę zdemontowano, przez co samo źródło znalazło się w miejscu silnie nasłonecznionym. Nie było ono małe, a jednak, ku zaskoczeniu wszystkich leśników, wkrótce po tym całkowicie wyschło. Wzbudziło to długie dyskusje, aż w końcu ktoś zaproponował, aby kamienną osłonę odbudować. Tak też uczyniono, przywracając jednocześnie tym tajemniczemu sposobem źródło do życia.

Schaubeger zaobserwował także, że woda o temperaturze bliskiej +4°C posiada największą siłę wyporu, która wzrasta jeszcze bardziej w nocy.

Źródłem ciekawych spostrzeżeń były również obserwacje zachowania pstrągów w górskich strumieniach, Schaubergera fascynowała m.in. zdolność tych ryb do niemal nieruchomego stania przez prawie nieograniczony czas w najsilniejszym nawet prądzie. Wystraszone, „wolały” one czmychnąć niczym błyskawice w górę nurtu niż pozwolić znieść się w dół, niemalże bez wysiłku, instynktownie potrafiły zmierzać w stronę źródła. Schauberger, podejrzewając, że wiąże się to z najniższą temperaturą wody w tym miejscu (i najwyższą energią) postanowił przeprowadzić pewien eksperyment. Pół kilometra powyżej, od miejsca gdzie zwykle przebywały „nieruchome” pstrągi wylał on, przy pomocy innych leśników, około 100 litrów nieco podgrzanej wody. Sto litrów, w porównaniu z ilością wody zawartą na odcinku pół kilometra wydawało się niewielką wartością, odległość była na tyle duża, że temperatura powinna się tak czy inaczej niemalże wyrównać - natężenie przepływu wynosiło zresztą wiele ton na sekundę. A jednak - ryby wyraźnie zareagowały, wydawały się poruszone, z wyraźnym trudem utrzymywały pierwotne pozycje, aż w końcu spłynęły z prądem, by wrócić później w to samo miejsce. Eksperyment ten powtarzano, zawsze z takim samym rezultatem. Upewniło to Schaubergera, że jest „na właściwym tropie”. Po tej, przyszły następne intrygujące obserwacje, oddajmy jednak głos (czy raczej pióro) samemu ich autorowi:

„Siedziałem pewnej wiosennej nocy koło wodospadu, mając nadzieję na przyłapanie groźnego wodnego kłusownika. To, co się wydarzyło później działo się tak szybko, że z trudem mogłem zdać sobie z tego sprawę. W świetle Księżycy, padającym bezpośrednio na krystalicznie czystą wodę można było dostrzec najdrobniejsze ruchy ryb, zgromadzonych w dużej ilości. Nagle pstrągi rozproszyły się ze względu na pojawienie się wyjątkowo dużej ryby, która podpłynęła bezpośrednio pod strumień wodospadu. Sprawiało to wrażenie, jakby chciała ona zakłócić spokój innych ryb, tańcząc i kręcąc się pod spadającą wodą, pływała w tą i z powrotem. Wkrótce, zupełnie nagle, ten duży pstrąg zniknął w strumieniu wodospadu, połyskującym jak spływający metal. Widziałem go pływającego pod stożkowym strumieniem wody, kręcącego się w dzikim tańcu, czego powód nie był wtedy jeszcze dla mnie zupełnie jasny. Przerwał później ten ruch obrotowy i popłynął nieruchomo w górę. Osiągając dolny łuk wodospadu obrócił się, wystrzelił i znalazł się na wysokości górnego łuku wodospadu. Tam, w szybko płynącej wodzie zniknął, energicznie pracując ogonem. Głęboko zamyślony nappełniłem swoją fajkę i zmierzając z powrotem do domu wypaliłem ją do końca. Często później widziałem jeszcze taką samą sekwencję zabawy pstrąga skaczącego przez wodospad. Po dziesiątkach podobnych obserwacji, niczym perła umieszczanych kolejno na nici, byłem w stanie wyciągnąć pewne wnioski. Żaden naukowiec nie był jednak w stanie wyjaśnić mi tego zjawiska”.

Schaubeger uznał wtedy, że naturalny przepływ wody tworzy strumień energii, poruszającej się w przeciwnym kierunku i to ona jest wykorzystywana przez płynącego pod górę pstrąga. Szuka on tego strumienia energii, czasami widzianego jako strumień światła i natrafiając na niego jest wciągany pod górę.

Powyższy oryginalny przykład i nie mniej oryginalny wniosek są typowe dla stylu myślenia Schaubegera, stylu który jednak doprowadził go do pewnych sukcesów. Nie mniej ciekawa jest kolejna z jego istotnych obserwacji, znowu pochodząca od samego autora:

„Pewnego razu przestałem wierzyć swym, ogólnie rzecz biorąc spostrzegawczym oczom, widząc niespodziewanie jak kamień, prawie wielkości głowy, zaczyna kręcić się w kółko, podobnie jak pstrąg przed przeskoczeniem przez wodospad. Kamień miał kształt jaja.

W chwilę po tym znalazł się on na powierzchni wody [w tym miejscu była kilkumetrowa głębia - przypis I.W.] i bardzo szybko utworzyła się wokół niego warstewka lodu. W świetle Księżycy w pełni wyglądał, jakby pływał po powierzchni wody. Potem drugi, trzeci i kolejne kamienie powtarzały te same ruchy. W końcu prawie wszystkie kamienie o kształcie jaja pojawiły się na powierzchni. Inne, o kształtach nieregularnych lub kanciaste pozostawały na dnie i nie poruszały się. W tamtym czasie naturalnie nie miałem jeszcze koncepcji zakładającej jednoczesność pewnych zdarzeń, dających w efekcie wyjątkowy rodzaj ruchu. Ten ruch pokonuje siłę grawitacji i pozwala kamieniom o regularnych kształtach na wypłynięcie na powierzchnię wody”.

W tym przypadku Schaubeger zwrócił, być może po raz pierwszy, głębszą uwagę na pewną anomalie (w stosunku do znanych dotychczas praw fizyki) przejawiającą się jednak na wiele sposobów i to doskonale znanych. Tak zresztą jest bardzo często, sprawy te doczekały się już licznych analiz.

Schaubeger był już blisko „zasadniczego nurtu”, chociaż w tym przypadku zjawiska antygrawitacyjne odgrywają rolę marginalną, obserwowane efekty powodowane są głównie przez różnice gęstości wody wywołane wirowaniem. To samo możemy zaobserwować po wrzuceniu do menzurki czy wąskiej szklanki jajka (cięższego od wody), które po energicznym zamieszaniu - zawirowaniu wody wypłynie na powierzchnię. Podobne zjawisko odpowiada również np. za to, że cukier na dnie szklanki herbaty zbiera się w środku, chociaż pozornie jako cięższy od wody powinien pod wpływem siły odśrodkowej dążyć w kierunku obwodu.

Tego rodzaju spostrzeżenia były charakterystyczne dla okresu życia Schaubegera, w czasie którego był on jeszcze, pod względem swego talentu zupełnie nieznaną. Doprowadziły jednak do znacznie poważniejszego zainteresowania tym wszystkim, co

zachodzi w wirze wodnym. W międzyczasie nadszedł pierwszy „komercyjny” sukces tego samouka.

Książę Adolf von Schaumburg - Lippe został poważnie dotknięty kryzysem gospodarczym lat dwudziestych, zaczął mieć problemy finansowe. Miał nadzieję zaradzić temu sprzedając drewno ze swych ogromnych posiadłości, jednak duża ich część stanowiła tereny górskie bardzo niedogodne do transportu, koszty zwożenia drewna bardzo znacznie zredukowałyby zyski. Książę ogłosił więc przetarg na najtańszą metodę pozyskania drewna. Napłynęły propozycje od różnych ekspertów, jednak żadna z nich go nie satysfakcjonowała. Jak się jednak okazało po pewnym czasie, wpłynął projekt obiecujący bardzo niskie koszty, jednak jako pozbawiony sensu został odrzucony przez komisję kwalifikacyjną już w fazie wstępnej. Metoda ta zakładała budowę na zboczach czegoś w rodzaju drewnianych rynien o kształcie jednak nie prostym lecz sinusoidalnym, którymi miała spływać woda (zadziwiały jej przewidywane małe ilości), unosząca pnie drzew. Projekt ten całkowicie zdał egzamin, ku zaskoczeniu ekspertów później przyznał jego autorowi sławę, był nim Viktor Schauburger. Pomysł ten próbowano powtarzać i w innych miejscach, jednak bezsprzecznie najlepsze były instalacje zaprojektowane bezpośrednio przez Schaubergera. Otrzymywał on również kontrakty zagraniczne (Jugosławia, Turcja, Czechosłowacja ...), stał się uznanym specjalistą a sława o nim dotarła także do środowisk naukowych. Pokłosem tego było nawiązanie współpracy ze słynnym profesorem -hydrologiem o nazwisku Forcheimer. Schauburger przedstawił mu niektóre niewyjaśnione zjawiska związane z wodą, takie jak na przykład poniższe, które sam opisuje:

„Czy mógłby pan profesor powiedzieć mi, gdzie woda jest zimniejsza, przed czy za głazem, który opływa?” Profesor wskazał kamień leżący w strumieniu, ukształtowany przez płynącą wodę i powiedział: *„Nie ma najmniejszej wątpliwości, że woda zimniejsza jest przed głazem”*, zaczął następnie wyjaśniać jak tarcie wody o kamień zwiększa lokalnie jej temperaturę. Schauburger odparł na to: *„kompletny błąd, woda jest zimniejsza poniżej kamienia”*.

Wywiązała się po tym burzliwa dyskusja, w trakcie której profesor Forcheimer wyjaśniał podstawy teoretyczne swojego twierdzenia, rysując na piasku różne wykresy. Schauburger zaproponował, aby problem rozstrzygnąć mierząc po prostu temperaturę wody. Wyjął dokładny termometr, wszedł do lodowatego strumienia i po porównaniu odczytów stwierdził, że woda jest najzimniejsza tuż za kamieniem, różnica wynosiła 0,2°. Jego oponent stracił w tym momencie cierpliwość i oznajmił, że jest to po prostu niemożliwe, że pomiar był przeprowadzony błędnie. Siedemdziesięciodwuletni naukowiec zdjął więc buty, podwinął nogawki swych eleganckich, czerwonych pantalo-

nów i również przeprowadził pomiar. Stał obok głazu, zanurzył kilka razy termometr i zamarł w bezruchu, zupełnie zapominając o zimnej wodzie. Dopiero po dłuższej chwili, głosem pełnym zdziwienia przyznał Schaubbergerowi rację. W późniejszym okresie Forcheimer stał się jednym z najważniejszych zwolenników jego koncepcji. W zasadniczym stopniu przyczynił się do przełamania bariery nieufności w stosunku do nowej wiedzy.

W tym czasie zainteresowania Schaubbergera zmierzały już w ściśle określonym, właściwym kierunku, związanym z nieznanym dotychczas rodzajem energii, ujawniającym się w wirach wodnych. Pozwólmy Schaubbergerowi opisać kolejne z całej serii zjawisk, jakie się do tego przyczyniły:

„W Hetzau, poniżej Ringu leżą jeziora Öd. Po długim okresie gorącej pogody z dna jeziora często dochodzą dźwięki zbliżone do grzmotów [„bühlen” w lokalnym dial.], towarzyszą temu swego rodzaju wyrzuty wody.

Pewnego letniego dnia usiadłem na brzegu jeziora i rozważałem możliwość ochłodzenia się odświeżającą kąpielą. Właśnie gdy zamierzałem wskoczyć zauważyłem, że woda zaczyna się poruszać, tworząc dziwaczne formy spiralne. Drzewa, które zostały zniesione do jeziora przez lawiny rozpoczęły coś w rodzaju spiralnego tańca zbliżając się coraz bardziej do siebie i zarazem z coraz większą prędkością w kierunku środka jeziora. Po jego osiągnięciu nagle stanęły dęba, po czym sprawiły wrażenie, że zostały przez jakąś siłę wciągnięte w głębinę, tą samą siłą, która jednocześnie zerwała z nich korę. (...) Żadne z drzew nie pojawiło się później na powierzchni jeziora. Po krótkim czasie jezioro było znowu spokojne, jakby zostało uwolnione przez pochłonięte ofiary. Był to jednak spokój przed prawdziwą burzą. Nagle powierzchnia jeziora zaczęła drżeć. Ze środka wystrzeliło do góry słup wody, co najmniej o wysokości budynku. Opadającej masy wody towarzyszył dźwięk grzmotu. Fale dotarły do brzegów i jednocześnie poziom wody zaczął się z jakiegoś tajemniczego powodu podnosić, co zmusiło mnie do szybkiego opuszczenia swego miejsca”.

To właśnie tego rodzaju obserwacje przyczyniły się do ochrzczenia przez Schaubbergera nowych zjawisk mianem implozji. Nawiasem mówiąc, podobne obserwowano i w innych miejscach.

Zagadnienie to opisywał on następująco:

„Jest to rodzaj ruchu, który tworzy, rozwija, oczyszcza i rośnie w formie hiperbolicznej spirali, który na zewnątrz jest dośrodkowy, i wewnątrz działa w kierunku centrum. Odnajdujemy go wszędzie w naturze, gdzie ma miejsce wzrost lub ruch, w tworzeniu spiral przez mgławice kosmiczne, w ruchu naszego układu planetarnego, w naturalnym przepływie wody, krwi i osocza. Z drugiej strony, niszcząca i rozpuszczająca forma ru-

chu jest w przyrodzie ruchem odśrodkowym - jego siła powoduje rozpraszanie ośrodka. Powoduje, że jego cząsteczki są wyrzucane od środka. Cząsteczki tego ośrodka są osłabiane, później ulega on rozpadowi. (...) Z rozbitych fragmentów mogą zostać stworzone nowe formy uporządkowane - w rezultacie koncentrującej formy ruchu. Spiralny, dośrodkowy ruch hiperboliczny jest właściwy dla spadającej temperatury, kontrakcji, koncentracji”.

Dalej, już zmierzając w kierunku wykorzystania tej formy energii Schauberger pisze:

„Wynalezienie „spirali ssącej” i „turbiny ssącej” [implozyjnej] opiera się na tej samej zasadzie, jaką obserwujemy w przypadku skręcającego biegu rzek, wywoływanego przez ruch obrotowy Ziemi. W rzekach woda ulega zawirowaniom, okręca się wokół siebie niczym lina w rękach wyrabiającego ją rzemieślnika. Tworzy wiry, leje, prądy spiralne, gdzie wprawiana jest w ruch obrotowy i ulega kompresji. Tworzone są próżnie, powodujące powstawanie ujemnego ciśnienia (...). Jest to „zjawisko spadającej temperatury”, którego fizycy nie uznają za zjawisko powstające mechanicznie. Powstaje natomiast w „turbinie ssącej”, poprzez którą ponownie odkrywana jest starożytna zasada. Problem zostaje rozwiązany. Jesteśmy teraz w sytuacji zastępowania destrukcyjnej „techniki ognia”, techniką życia, zamiany silników wybuchowych na implozyjne”.

Po dojściu do tych wniosków Schauberger skoncentrował się na prowadzeniu eksperymentów i prac zmierzających do zbudowania maszyny „implozyjnej” - silnika wykorzystującego nowy rodzaj energii, swego rodzaju „implozyjnej”, wodnej turbiny napędowej. Wiadomo, że zbudował on dwa prototypy takich urządzeń, było to prawdopodobnie na początku lat trzydziestych. Jeden z egzemplarzy uległ zniszczeniu w trakcie eksperymentu, natomiast drugi miał w 1958 roku zostać wywieziony do USA (o ile nie była to późniejsza, udoskonalona wersja). Urządzenie to było zbudowane następująco: centralną część stanowił wirnik umieszczony w obudowie próżniowej. Wirnik ten składał się ze stożkowej, metalowej części centralnej (zweżającej się w dół) i „owiniętych” wokół niej specjalnie wyprofilowanych rur, obracał się on w czasie pracy wokół osi pionowej. Rury - prawdopodobnie najciekawsza część urządzenia miały dosyć skomplikowany kształt. Przekrój każdej z nich nie był kołowy, lecz raczej „jajowaty z nieco wklęsłym jednym bokiem”, nie był również tej samej wielkości na całej długości przewodu, lecz powoli malał, osiągając minimalną wartość na dole wirnika. Rura (każda tak samo) była nawinięta spiralnie na centralny stożek tak, że skok tej swoistej sprężyny był najmniejszy w górnej części, osiągając na dole wartość kilkukrotnie większą. Chodziło o to, żeby tłoczona do niej od góry woda ulegała wewnątrz rury, pod wpływem ruchu obrotowego wirnika, wirowaniu z coraz większą prędkością, zmierzając równocześnie do-

środkowo w kierunku osi wirnika - ulegając kompresji wirowej. Pewnego rodzaju kuriozum jest fakt, że dokładny kształt każdej z rur był wzorowany na spiralnym ... rogu antylopy Kudu.

Wydostająca się z ich dolnych końców woda, znajdująca się pod bardzo wysokim ciśnieniem, padała na łopatki specjalnej turbiny napędzającej generator elektryczny a następnie przepływała z powrotem do góry (według Schaubergera - samorzutnie), gdzie wracała do obiegu. Znamienną i zarazem niezwykłą cechą tego urządzenia było to, że po uruchomieniu nie wymagało już dostarczania żadnej energii, znaczyłoby to, że woda była zarówno czynnikiem roboczym, jak i „paliwem”. Choć sprawia to wrażenie „bajek o perpeetum mobile”, to jednak zjawisko to zostało potwierdzone w drodze najnowszych prac badawczych (przypuszcza się, że energia pochodzi z tzw. fluktuacji próżni).

Jak wspomniałem, jeden z dwóch prototypów zbudowanych przez Schaubergera w latach trzydziestych uległ zniszczeniu w trakcie badań. Urządzenie to, ku zaskoczeniu samego konstruktora, wytworzyło w pewnym momencie tak silny impuls energii, że rzekomo oderwało się od podstawy, do której było przymocowane i roztrzaskało o sufit laboratorium.

Z uwagi na wcześniejsze sukcesy, Schauburger nie był już w tym czasie uważany za „niepoprawnego szaleńca”, jak było na początku i powyższe prace spotkały się z poważnym zainteresowaniem pewnych kręgów, m.in. reprezentowanych przez Himmlera i Hitlera. Stało się tak za sprawą pewnego niemieckiego przemysłowca - Hansa Roseliusa z Bremy, który podjął się dbania o ochronę patentową rozwiązań Schaubergera w Niemczech. Doprowadziło to do brzemiennego w skutki ciągu wydarzeń, których początkiem było otrzymanie przez konstruktora prośby o stawienie się w ambasadzie Niemiec w Wiedniu celem odbioru wizy. W międzyczasie Schauburger dowiedział się, że chodzi o zaproszenie go na rozmowę przez samego Adolfa Hitlera. Był to rok 1934. W tym samym roku doszło do spotkania. Hitler wydawał się być dobrze poinformowany o pracach Schaubergera i domagał się niezwykle szczegółowych informacji, pozwolił mu na godzinne przedstawianie tych szczegółów bez przerywania. Na spotkaniu obecna była na życzenie Hitlera jeszcze jedna osoba - naukowiec z Instytutu Cesarza Wilhelma oraz radca ministerialny - Wiluhn, zajmujący wobec nowej dziedziny stanowisko bardzo sceptyczne. Nie odważył się on jednak wyrażać swego zdania i dopiero po wyjściu obu gości zarzucił Schauburgerowi w ostrych słowach „wkradanie się w łaski Führera tylko po to, żeby faszerować jego głowę jakimis̄ idiotyzmami”. Wystarczyło to, aby Schauburger poczuł się śmiertelnie obrażony i pomimo planowanych kolejnych spotkań wrócił niezwłocznie do Austrii. To jednak, które miało miejsce, miało dalej przebieg następujący:

A.H. - Co zaproponowałby pan zamiast generatorów i metod, którymi dysponujemy obecnie?

V.S. - Proszę dać mi do dyspozycji sprzęt, ludzi oraz materiały, których bym potrzebował a w ciągu kilku miesięcy zobaczy pan moje metody produkcji energii. Wtedy sam pan oceni, która metoda jest lepsza i ma większy potencjał.

A.H. - Co byłoby źródłem paliwa dla pana generatorów?

V.S. - Woda i powietrze, one zawierają całą energię, której potrzebujemy.

Wtedy Hitler przycisnął przycisk na swoim biurku i po chwili do gabinetu wszedł sekretarz stanu Keppler. Hitler zwrócił się do niego w następujących słowach: „Proszę dać temu Austriakowi, którego koncepcje zainteresowały mnie, wszystko czego potrzebuje do wykazania słuszności swych teorii”.

Nie ulega wątpliwości, że pomimo przerwy w oficjalnych kontaktach, która po tym nastąpiła, koncepcje Schaubergera trafiły na bardzo podatny grunt. Stanowisko Hitlera przesądzało, że w sprzyjających warunkach wyścigu naukowo - technicznego zmierzającego do uzyskania przewagi technicznej niemalże za wszelką cenę (warunki te miały wkrótce zaistnieć) te budzące nadzieje prace będą kontynuowane. Na razie jednak Schauberger był obywatelem obcego państwa, co po doznanych przez niego urazie osobistym stanowiło pewien problem. Sytuacja uległa jednak diametralnej zmianie w 1938 roku - po Anschlussie Austrii, dopiero wtedy prace ruszyły na dobre.

Już na samym początku wojny Schauberger miał pełne ręce roboty. Prace te objęte były wprawdzie tajemnicą, jednak dzięki kilku źródłom posiadamy pewne podstawowe informacje o nich. Głównym z tych źródeł był niejaki Aloys Kokaly, odpowiedzialny za dostawy podzespołów produkowanych w Niemczech (tzn. w niemieckiej części III Rzeszy), do wiedeńskiej firmy Kertl zajmującej się „na polecenie najwyższych władz” budową nowych systemów napędowych, oczywiście przy współpracy Schaubergera. Chodziło o nowy silnik lotniczy - antygravitacyjny (być może z powietrzem, jako czynnikiem roboczym) oraz generator napędowy dla okrętów podwodnych. Jak wspomina Kokaly, pewnego razu spotkał się z gorzką, ironiczną uwagą szefa firmy Kertl, który oznajmił mu: „*To musi być przygotowane dla pana Schaubergera na polecenie najwyższych władz, ale gdy już zostaje ukończone, wylatuje na ulicę - podczas jednego z wcześniejszych testów jeden z tych dziwnych wymysłów poleciał prosto przez dach fabryki*”.

Był to jednak dopiero skromny początek długiej drogi, najeżonej nieznanymi wcześniejszymi problemami. Dopiero w 1945 roku Schauberger mógł napisać, że „*prace nad nowymi silnikami dla okrętów podwodnych i samolotów zostały ukończone*”.

Wróćmy jednak do początku wojny, do prac prowadzonych w zaanektowanej Austrii. Jak należało się spodziewać biorąc pod uwagę zainteresowanie wcześniejszymi praca-

mi towarzyszów „Thule” i „Vril”, i one zostały zauważone w odpowiednich kręgach III Rzeszy. Dowodzi tego przemówienie wygłoszone na jednym ze zgromadzeń przez niejakiego doktora W.O. Schumanna (dziwnym zbiegiem okoliczności znów z Uniwersytetu Monachijskiego), pochodzące z tego okresu:

„We wszystkim, co znamy, zdarzenia determinują dwie zasady: światłość i ciemność, dobro i zło, kreacja i destrukcja - jak w elektryczności znamy plus i minus. Jest zawsze: albo - albo.

Te dwie zasady - tworzenie i niszczenie określają również nasze środki techniczne.

Wszystko, co niszczące jest szatańskiego pochodzenia, wszystko co twórcze jest boskie... Każda technika opierająca się na wybuchu lub spalaniu musi więc być nazwana szatańską. Nadchodząca nowa epoka będzie epoką nowej, pozytywnej boskiej techniki”.

Trzeba przyznać, że dziwne to słowa, wskazujące, że Schauburger nie był wcale odosobniony w swym widzeniu świata... Prawdopodobnie między innymi ze względu na przypisywane tej dziedzinie mistyczne konotacje, największe zainteresowanie nią okazywał Reichsführer-SS Heinrich Himmler. Schauburger dowiedział się o placówce powołanej do życia przez Himmlera dopiero w 1943 roku, gdy ... otrzymał powołanie do wojska. Pomimo niezdolności do pełnienia tej funkcji ze względu na stan zdrowia, został on mianowany dowódcą kompanii powietrznodesantowej, stacjonującej we Włoszech, jednak po kilku dniach uległo to zmianie - został wezwany do szkoły SS w Rosenhügel koło Wiednia. Stamtąd z kolei został zabrany do obozu koncentracyjnego Mauthausen, gdzie powitał go komendant- SS-Standartenführer Zierys. Po przekazaniu osobistych pozdrowień od Himmlera, przedstawił on następującą propozycję:

„Przeanalizowaliśmy pana dorobek naukowy i sądzimy, że coś w tym jest. Może pan teraz wybrać albo kierowanie zespołem naukowym złożonym z techników i fizyków wybranych spośród więźniów, w celu skonstruowania maszyn wykorzystujących odkrytą przez pana energię, albo zostanie pan powieszony”.

Schauburger, rzecz jasna wybrał to pierwsze, stawiając jednak warunek, aby wybrani przez niego specjaliści przestali być traktowani jako więźniowie. SS wyraziła na to zgodę a miejsce prowadzenia prac przeniesiono do Rosenhügel, gdzie dzięki dostępowi do znacznie większych niż dotychczas środków, zaczęły one posuwać się naprzód w szybkim tempie. Poradzono sobie z podstawowymi problemami konstrukcyjnymi i rozpoczęto budowę pierwszych prototypów obiektów latających.

Wkrótce doszło jednak do bombardowania szkoły SS w Rosenhügel. Nie zatrzymało to wprawdzie badań, lecz musiały one zostać przeniesione. Wybór padł na miejscowość Leonstein koło Linzu.

W pierwszej kolejności skoncentrowano się na budowie latających, zmniejszonych wersji statków docelowych. Ponieważ tylko one wpadły później w ręce Aliantów, stały się stosunkowo znane i były określane mianem „bączków Schaubergera” (patrz: zdjęcia). Wiadomo, że jeden z nich napędzany był silnikiem elektrycznym o mocy 0,05 KM. Ich konstrukcja została opisana w dalszej części rozdziału. Nie ma całkowitej jasności, czy obiekty te unosiły się w powietrze, prawdopodobnie tak, skoro po tym podjęto decyzję o budowie obiektów „pełnowymiarowych”.

Z dostępnych źródeł wynika, że zbudowano dwa egzemplarze - jeden z nich skierowano do prób w locie na początku lutego 1945 roku, drugi natomiast podobno uniósł się w powietrze tylko raz, prawdopodobnie w kwietniu tego roku. Był to jednak start niezamierzony, wewnątrz hali fabrycznej, w związku z czym uległ on zniszczeniu. Wiadomo, że jego „kadłub” wykonano ze specjalnego stopu, nazwanego „impervium” i, że przejawiał on w locie zupełnie niezwykle cechy. Po uruchomieniu napędu latający dysk rozjarzył się początkowo niebiesko - zieloną, pulsującą poświatą, później „biało - srebrzystą” - według słów samego konstruktora. W czasie wznoszenia nie wydawał praktycznie żadnego dźwięku.

W jednym z listów Schauberger opisał następująco los pierwszego z „pełnowymiarowych” prototypów:

„Latający dysk, który był testowany w locie 19 lutego 1945 roku koło Pragi i osiągnął wysokość 15 000 metrów w ciągu trzech minut i prędkość poziomą 2200 km/h, został skonstruowany według modelu 1:1, zbudowanego w obozie koncentracyjnym Mauthausen przy współpracy najwyższej klasy inżynierów i analityków naprężeń, przydzielonych mi spośród tamtejszych więźniów.

Dopiero po zakończeniu wojny dowiedziałem się od jednego z robotników, Czecha, że prace badawcze intensywnie realizowano dalej, nie otrzymałem już jednak odpowiedzi na swoje zapytanie. O ile dobrze rozumiem, tuż przed końcem wojny maszyna ta została zniszczona na rozkaz Keitla. To były ostatnie wieści, jakie do mnie dotarły.

W tą sprawę zaangażowanych było również kilku specjalistów od uzbrojenia, którzy pojawili się w zakładach w Pradze na krótko przed moim powrotem do Wiednia i zwrócili się do mnie z prośbą o zademonstrowanie podstaw budowy tego obiektu, [jest to]:

tworzenie strefy zmniejszonego ciśnienia atomowego, które powstaje w ciągu sekund od momentu, gdy powietrze lub woda są zmuszone do ruchu osiowego lub promieniowego w warunkach spadającego gradientu temperatury”.

O drugim z obiektów, który uległ katastrofie, Schauberger pisał z kolei po wojnie - 28 lutego 1956 roku do niemieckiego ministra obrony, Straussa:

„Latający spodek wystartował niespodziewanie, wznosił się a następnie roztrzaskał o sufit. Kilka dni później pojawiła się grupa Amerykanów, którzy sprawiali wrażenie, że

rozumieją co się dzieje i wszystko przejęli. Później, po bardzo drobnych przestępstwach przez wysokiego rangą oficera, zostałem odizolowany, pilnowało mnie sześciu policjantów przez około sześć miesięcy. Ważną część urzędzenia znaleźli w moim mieszkaniu Rosjanie.”

Na zakończenie warto dodać, że radzieccy saperzy wysadzili w powietrze mieszkanie Schaubergera, prawdopodobnie w celu uniknięcia „niebezpieczeństwa”, że strona przeciwna mogłaby odnaleźć coś, co oni przeoczyli.

Przy tej okazji pojawia się oczywiście pytanie, czy to prawda, kim naprawdę był ten człowiek? Do próby odpowiedzi na te pytania jeszcze wrócimy, na razie jednak przyjrzyjmy się jeszcze jego pracom...

„Projekty” Schaubergera można z grubsza podzielić na dwie grupy, które chociaż zawsze były traktowane łącznie, są czymś diametralnie różnym z fizycznego punktu widzenia. Sprowadzało się to do tego, że rzeczy częściowo lub całkowicie sensowne mieszano w jednym tyglu z kompletnymi idiotyzmami albo z domniemanymi tylko odkryciami, w rzeczywistości bez znaczenia. W sytuacji, gdy to wszystko było jeszcze okraszone bardzo niejasnym językiem, trudno było się spodziewać, aby te koncepcje przebiły się do normalnego świata – przynajmniej te z nich, które na to zasługiwały. Wyjątkiem był



Viktor Schaubberger.

jedynie okres wojenny, gdy panowały inne reguły. Tak więc sam Schaubberger (mający zresztą bardzo ciężki charakter) sprawił, że sprawy te traktowano głównie jako wariactwo. Tradycję tą w pewnym sensie kontynuuje jego rodzina ze swą skrytością, z otwartą wrogością podchodząc do wszelkich pytań i wątpliwości wyrażanych przez ludzi z zewnątrz, – o czym miałem możliwość przekonać się w 2000 roku.

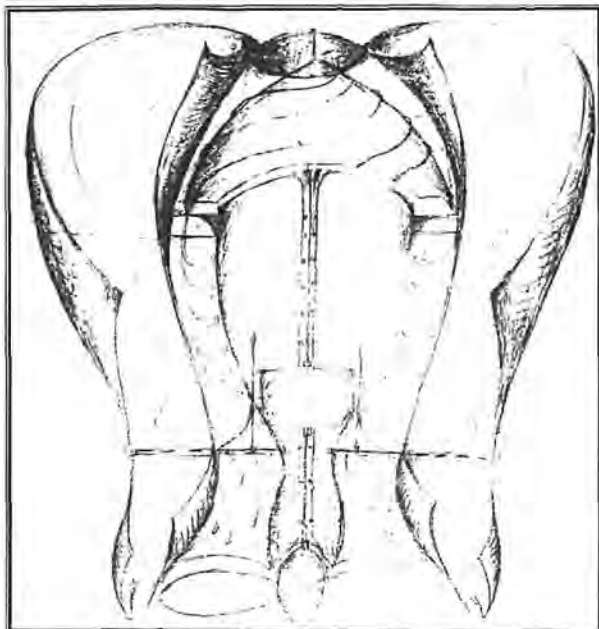
Sprawa fikcyjnych i prawdziwych odkryć Schaubergera to materia mętna, wymagająca dopiero przetłumaczenia na ogólnie zrozumiały język, przypominająca próby zrozumienia opisu maszyny pozostawionego przez kapłanów egipskich. Ale mimo wszystko sprawa ta jest tego warta...



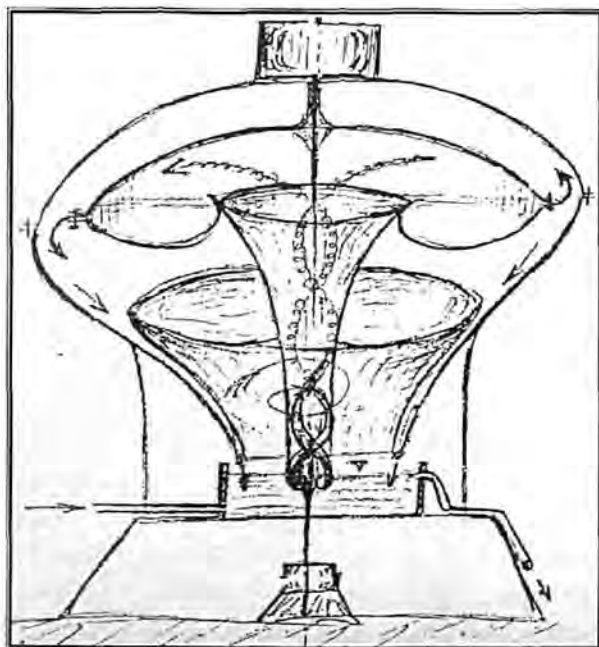
Schauberger ze swym „domowym generatorem prądu”.

Jak wspominałem, dokonania Schaubergera można podzielić na dwie grupy, całkiem się od siebie różniące.

Grupę pierwszą nazwałbym „czystą biotechniką” – to wszystko to, co obejmuje traktowanie materii martwej jako żywej substancji oraz doszukiwanie się w organizmach żywych różnych przekształceń form spiralnych. Viktor Schauberger generalnie traktował całą Ziemię jako żywy organizm, żywa samoistnie była krew, woda, gleba itp. Na tej bazie opierała się cała masa najdziwniejszych teorii i „wynałazków”, dotyczących kształtu drzew, kształtu „biotechnicznej” motyki, kształtu galaktyk czy budowy cząsteczek chemicznych. Jestem gotów zaryzykować stwierdzenie, że 99% z tego jedynie odstraszało świat nauki i techniki. Na szczęście druga z obu grup – dotycząca zjawisk zachodzących w wirach wodnych miała dużo większe znaczenie praktyczne i stanowiła grupę dominującą, ale zrozumienie faktu, że dorobek wspomnianego Austriaka został zapomniany możliwe jest jedynie wtedy, gdy chociażby przelotnie rzucimy okiem na przykłady z pierwszej grupy. Reprezentatywne w tym względzie są pytania wypunktowane przez Schaubergera w jego publikacji z lat trzydziestych, są to w zamysle autora, największe wyzwania dla nauki.¹¹ Poniżej przedstawiam skromny wybór, w nawiasach kwadratowych zamieściłem własne „odpowiedzi”:



Wstępny szkic „wodnej turbiny ssącej”.



Wstępny szkic urządzenia do uszlachetniania wody –pierwowzoru „repulsatora”.

Energia:

Co utrzymuje Ziemię unoszącą się w przestrzeni kosmicznej? [komentarz chyba zbyt techniczny].

Czym jest temperatura, ciepło, zimno? [energiją drgań cząsteczek, atomów, elektronów].

Czym jest energia? [??]

Czym jest parowanie? [????]

Magnetyzm:

Dlaczego linie sił pola magnetycznego biegną od bieguna południowego do północnego? [one nigdzie nie biegną, jest to tylko kwestia umowna].

Dlaczego Ziemia wiruje z zachodu na wschód? [????]

Słońce:

Co służy Słońcu jako nośnik światła i ciepła, jeśli według uczonych przestrzeń jest pusta? [? – oczywiście przestrzeń nie jest pusta].

Tak można by wyliczać jeszcze długo, tylko niewielki odsetek tych „wyzwań dla nauki” był sformułowany sensownie. Skutecznie przyćmiewały je takie, jak: „dlaczego zwierzęta zimnokrwiste przenoszą truciznę wywołującą gorączkę?” czy „gdzie znajduje się serce drzewa?”.

Na tej podstawie jasno wiadać, dlaczego było bardzo mało prawdopodobne, aby

ktoś myślący racjonalnie przyznał się do poważnego traktowania odkryć tego człowieka. Próbkę „totalnie biologicznego” widzenia świata zawiera następujące spostrzeżenie rzucone przez Schaubergera na widok (z samolotu) prawie pustynnego krajobrazu południa USA. Refleksje te zostały wypowiedziane do wykształconych przedsiębiorców amerykańskich:¹²

„Jaki to ma sens? Z biologicznego punktu widzenia to, co tam jest na dole to umierająca kraina. Wody nie ma, gleby nie ma, a ziemia tam jest sucha jak patelnia! Nie macie najmniejszego pojęcia, czym jest woda! Miejsce wody jest wewnątrz ziemi a nie ponad nią. To, co jest w tych wieżach ciśnieniowych, to już nie jest woda, lecz woda ognista!”

To jednak jest tylko jedna strona medalu, druga to prace i wynalazki wykorzystujące zjawiska zachodzące w wirach wodnych a później również w wirach powietrznych. Były to: wspomniany już generator prądu (wykorzystujący zanik oporu w szczególnego rodzaju wirach), kilka różnych typów turbin wodnych, które należy traktować jako stadium przejściowe względem późniejszych konstrukcji, „Klimator” – urządzenie, które można by nazwać „grzejnikiem uszlachetniającym powietrze”, „Repulsine” – rodzaj turbiny wodnej służącej do uszlachetniania wody, „Repulsator” – urządzenie bardzo podobne do „Repulsine” tzn. o kształcie jaja, lecz pracujące w cyklu zamkniętym i służące do „biosyntezy”.

Ukoronowaniem tych prac były co najmniej dwa projekty „antygrawitacyjnych latających talerzy”, wywodzące się z konstrukcji „Klimatora”. To, co wydaje się jednak najistotniejsze w tym wszystkim to fakt, że praktycznie wszystkie te urządzenia powstały, względnie były rozwijane w czasie wojny, a więc w pewnym sensie „w służbie Hitlera”. Zatem przyjrzyjmy im się... Najciekawsze były z pewnością te ostatnie, ale zacznijmy od początku:

„Wodny generator prądu” został już skrótowo opisany we wcześniejszej części tego rozdziału.

Teraz natomiast chciałbym poświęcić parę słów powojennej kontynuacji tych prac oraz badaniom mogącym wnieść coś do prób zrozumienia zagadnienia niezwyklej właściwości wody i uzyskiwanej z niej energii. Jeśli chodzi o to pierwsze, to poza badaniami rozpoczętymi w USA w latach pięćdziesiątych, bezpośrednio bazującymi na informacjach udzielonych przez samego Schaubergera, analogiczne rozpoczęto również w RFN. Zostały one rozpoczęte w 1952 roku przez profesora Pöpela z politechniki w Stuttgarcie. Realizowano je na wniosek ówczesnego ministra Kumpfa (pomimo początkowych protestów Pöpela) w celu praktycznej weryfikacji niezwyklej teorii implozji i jej ewentualnego rozwinięcia. Zbudowano zatem odpowiednią aparaturę, inspirowaną pracami Schaubergera, z pojedynczym, szklanym przewodem rurowym m.in. w kształcie wspo-

mnianego rogu antylopy Kudu. Przy jej pomocy zamierzano uzyskać odpowiedzi na pięć następujących pytań:

- Czy woda przepływająca przez rurę może być zmuszona do ruchu dośrodkowego?
- Jaki jest dokładnie wpływ kształtu rury?
- Jakie znaczenie ma rodzaj materiału, z którego została wykonana?
- Czy w trakcie badania woda ulega jakimś przemianom molekularnym?
- Czy badane zjawiska mogą umożliwić ochronę rur przed korozją?

Już pierwsze badanie wykazało, że opisywana przez Schaubergera „kompresja implozyjna” rzeczywiście ma miejsce. Stosowano wodę zabarwioną, w związku z czym, w przezroczystym przewodzie łatwo można było zaobserwować, że stopniowo nasycenie koloru wyraźnie rośnie wzdłuż osi przewodu. Ta niezwykła obserwacja, stojąca w sprzeczności z klasyczną mechaniką pozwoliła zburzyć mur nieufności ze strony środowiska akademickiego, a przede wszystkim Pöpela. Dalsze badania wykonywał on wręcz z entuzjazmem. W ramach kolejnych eksperymentów dodawano do wody różne substancje nierozpuszczalne m.in. piasek i pył stalowy. Ich rezultaty były podobnie zaskakujące - nawet pył stalowy (ponad siedmiokrotnie gęstszy od wody) koncentrował się, wbrew sile odśrodkowej, w osi przewodu, jednak nie równomiernie a w formie, w pewnych odstępach rozłożonych jajowatych grudek (niczym w fali stojącej), co ciekawsze - grudki te były dosyć mocno zbite, a po rozłupaniu okazywały się całkowicie suche wewnątrz! Kulki te, znajdując się wewnątrz rury, mogły się jednocześnie powoli przesuwac w dół lub w górę (pod prąd), w zależności od parametrów przepływu. Przy dużym jego natężeniu obserwowano również tworzenie się wokół rury wyraźnie zauważalnej poświaty.

Badano różne materiały i rury o różnych kształtach. Okazało się, że prosta i gładka rura szklana, która powinna dawać najmniejszy opór, dawała opór największy, podczas gdy najlepsza okazała się metalowa rura Schaubergera w kształcie rogu antylopy. Obserwowano w niej największe wahania oporu. W miarę wzrostu prędkości przepływu wahania te tworzyły na wykresie krzywą o stale rosnącej amplitudzie i mniej więcej podobnie rosnącym okresie. O ile jednak „od góry” krzywa ta rosła asymptotycznie, to jej minima tworzyły dosyć niezwykły obraz - zaobserwowano mianowicie przy pewnej, określonej prędkości przepływu (ok. $0,6 \text{ m/s} = \text{ok. } 0,3 \text{ l/s}$) spadek oporu poniżej zera¹³, uzyskując w rezultacie „nadmiar” energii. Chociaż może się to wydawać niemożliwe, to jednak potwierdzają to wyniki niedawnych badań prowadzonych w Stanach Zjednoczonych. Zostały one zaprezentowane jesienią 1998 roku w jednym z programów brytyjskiej telewizji BBC, poświęconych najnowszym odkryciom naukowym (z cyklu „Future Fantastic”). Przedstawiono w nim naukowca - inż. Jima Griggsa z Georgii, który podczas jednego z badań przepływu wody w prostej rurze zaobserwował podwyższe-

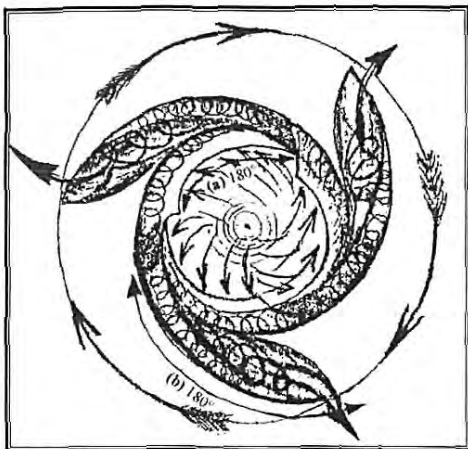
nie jej temperatury - większe niż mogłoby dawać tarcie, oraz dźwięki sugerujące rozchodzenie się wewnątrz rury (wielu) fal uderzeniowych. Skonstruował on więc specjalne urządzenie, dzięki któremu zamierzał przebadać nowe (?) zjawisko i ewentualnie określić możliwości wykorzystania powstającej energii. Główna zmiana w stosunku do poprzednio stosowanej aparatury polegała na wykorzystaniu ultraszybkiej, specjalnej, dużej pompy. Obserwowane wcześniej zjawiska stały się teraz oczywiście dużo wyraźniej zauważalne, jednak oprócz tego okazało się, według słów samego inż. Griggsa, że:

„Wygląda na to, że pompa daje więcej energii, niż pobiera. (...) Z początku myślałem, że popełniłem jakiś błąd, jednak minęło od tamtego czasu dziewięć lat i wciąż wyników tych nie udało mi się zakwestionować”.

Co może być źródłem tych niezwykłych zjawisk? Jest to złożony problem i aby go zrozumieć musimy najpierw przyjrzeć się warunkom panującym w tych urządzeniach, czy ogólnie – w rurach, przewodach o opisanym kształcie. Woda (lub inna ciecz a nawet gaz) przepływa w nich z bardzo dużą prędkością. Tak, aby w efekcie powstał wir o bardzo dużej prędkości kątowej. Opisywane przy tym zjawisko luminescencji jest znane i mówi nam, że prędkości te były faktycznie bardzo duże.

Jak w ogóle zachowuje się woda, gdy poddamy ją wirowaniu z taką prędkością? Z sytuacją taką mamy do czynienia np. za szybko obracającą się śrubą okrętową. Zachodzi wtedy zjawisko kawitacji. W wirze takim powstaje ciąg, rząd pęcherzyków próżni, zanikający w pewnej odległości. Niby nic nadzwyczajnego, a jednak... Najciekawsze jest nie to, co powoduje powstawanie próżni, ale warunki panujące w momencie zapadania się takich bąbelków. Są one szczególnie i diametralnie różnią się od warunków, w jakich zapada się np. bąbel gazu. Tutaj bowiem nie ma ciśnienia wewnątrz bąbla i w ogóle nie ma żadnego czynnika, który ograniczałby prędkość zapadania się. Wręcz przeciwnie. Mamy ciśnienie wody, skierowane do środka oraz znacznie potężniejszą siłę – napięcie powierzchniowe, które „dąży” do zamknięcia bąbla tym silniej im jest on mniejszy. W efekcie, jak wykazują najnowsze badania, mały bąbel próżni – o średnicy kilku milimetrów, osiąga w końcowej fazie zapadania się prędkość liniową ścianek rzędu aż 2 – 3 km/s! Zgodnie z zasadą zachowania momentu obrotowego prowadzi to do olbrzymich prędkości kątowych, wręcz... relatywistycznych (Schauburger raczej nie był tego świadom). To zderzające się ścianki bąbla wywołują świecenie. Są to zjawiska rozgrywające się w milionowych częściach sekundy i na małych odległościach, więc w normalnych warunkach słabo zauważalne w świetle makroskopowym. Normalnie nie ma to charakteru procesu ciągłego. Jak jednak wykazują wspomniane badania, jest to jednak ciekawa furtka.

Do czego?

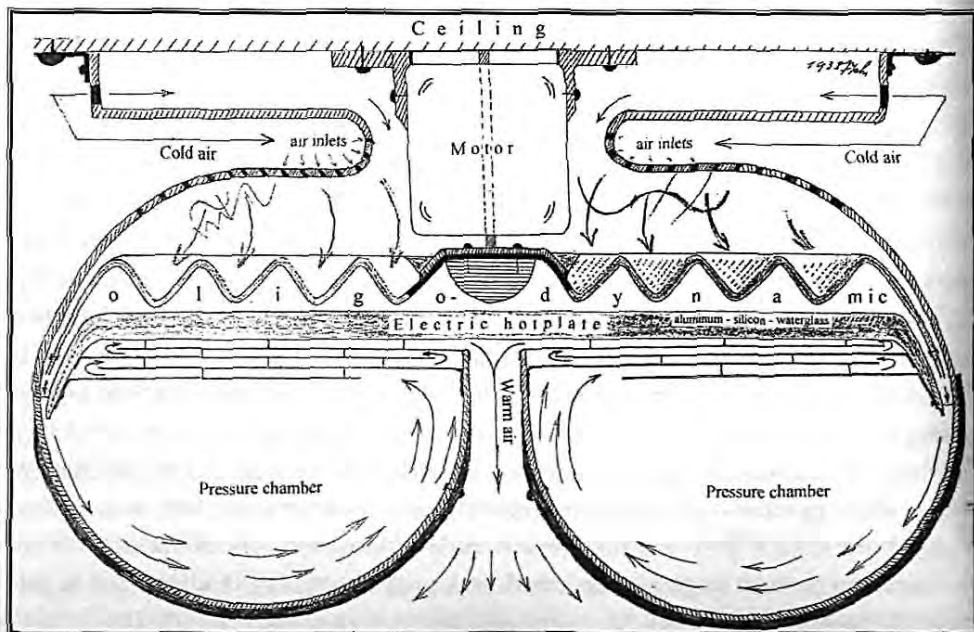


Szkic jednej z turbin wodnych.

Do „Świętego Graala” współczesnej fizyki, do tzw. „energii próżni”, dominującej energii Wszechświata. Szersze omówienie tych zagadnień zawarłem w książce „Prawda o Wunderwaffe” – w rozdziale dotyczącym Hansa Colera oraz w „części trzeciej”. Moim zdaniem tylko ta część prac Schaubergera, która wykorzystywała te zjawiska była całkiem sensowna. Tylko tutaj udało mu się „wstrzelić” w autentycznie ciekawe, nowe, bo bardzo powierzchownie rozumiane zjawisko fizyczne. Można nazwać to w ten sposób, że wir

o ekstremalnej prędkości jest jednym z niewielu zjawisk makroskopowych, w których możemy bezpośrednio zaobserwować zjawiska kwantowe, kluczem do energii kwantów czasoprzestrzeni. Zainteresowanych odsyłam do „Prawdy o Wunderwaffe”...

Urządzeniem zupełnie innego rodzaju był zaprojektowany w 1938 roku „Klimator” – jednocześnie jeden z najdziwniejszych wynalazków Schaubergera. Tym razem słowo



Przekrój „klimatora”.

„wynałazek” powinno się raczej pisać w cudzysłowie. Muszę przyznać, że zarówno zasada działania, jak i cel istnienia „tego czegoś” stanowią dla mnie niezgłębioną tajemnicę. Kolejny przykład mętnego sposobu pojmowania świata przez Schaubergera. Takie przynajmniej można odnieść wrażenie po zapoznaniu się z jego własnymi objaśnieniami, opublikowanymi w 1945 r.:¹⁴

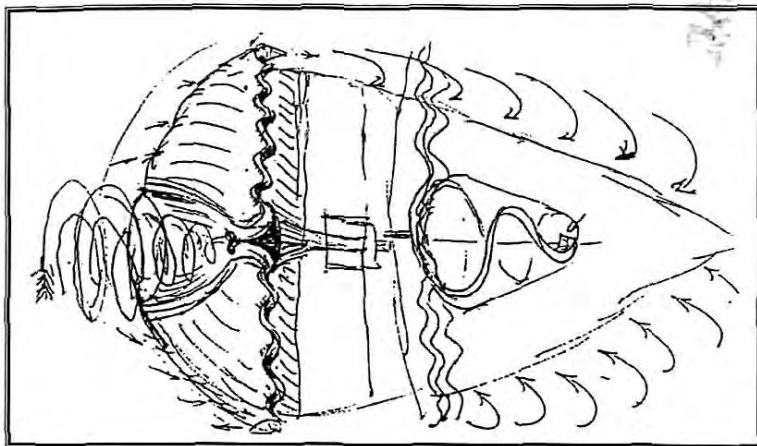
„Klimator reprezentuje najbardziej podstawową formę rozwojową, w której naturalne, pierwotne siły motoryczne mogą ewoluować – ich dwie składowe można rozróżnić jako:

- a) metafizyczną, która działa od środka na zewnątrz, oraz*
- b) fizyczną, działającą od zewnątrz do środka.*

Obie te wyższe formy ciśnienia i podciśnienia dają razem „pierwotną” formę ruchu, przez którą powstaje wpływ wyższego rzędu, generujący z kolei nasiloną i jakościowo ulepszoną, pierwotną energię życiową. (...) Klimator zasadniczo składa się z: (...)

- 1. Małego, konwencjonalnego elementu grzewczego, wbudowanego w środkową część [fotoelektrycznego] ogniwa selenowego, otoczonego przez masę. Jak w naturalnej żywej komórce, przez analogię do protoplazmy, wszystkie główne i drugorzędne elementy podstawowe występują w stanie alotropowym [?? – I.W.]. Są tu więc zawarte wszystkie rodzaje alotropowych fruktigenów i substancji życiodajnych – oligodynamicznych (promujących rozpad) oraz katalitycznych (przyśpieszających wzrost) substancji pobudzających.*
- 2. [Klimator] jest miniaturową, lecz wierną kopią samej Ziemi, wewnątrz której obraca się wirnik, przymocowany do pionowego wału...”*

Myślę, że możemy sobie z czystym sumieniem darować dalszą część tego mętnego opisu, jakże typowego dla sposobu myślenia Schaubergera. Najwyraźniej chodzi tu o rozróżnienie pomiędzy „dobrym” („żywym”) ciepłem/zimnem a „złym”, czyli „martwym” ciepłem lub zimnem – to była jedna z jego obsesji. Gdy bowiem spojrzymy na schemat, zorientujemy się, że jest to po prostu połączenie elektrycznej płyty grzewczej ze skomplikowanym wentylatorem. Autor sugeruje przy tym, że jego „wynałazek” jest odpowiedzią na zbliżającą się zimę i brak paliw. O co w tym wszystkim chodzi – nie mam pojęcia i chyba nie pozostaje nam nic innego jak przejść do opisu kolejnego urządzenia. A swoją drogą: ten podział na energię dobrą dla życia i przeciwną życiu musi budzić skojarzenia z pseudomedycznymi doświadczeniami, jakie wykonywano w obozie w Dachau. Np. z takimi, w trakcie których wyziębionych lodowatą wodą więźniów ogrzewano... nagimi kobietami, lub kocami i porównywano wyniki. Miały one dowodzić przewagi ciepła organizmu żywego nad ciepłem czysto fizycznym. Oczywiście nie dowiodły...



Wstępny szkic „biotechnicznej” łodzi podwodnej napędzanej „turbina ssącą”. Jej przednia część przypomina nieco „bączek latający” skonstruowany pod koniec wojny, widoczna jest podobna falista płyta wymuszająca ruch wirowy.

„Repulsine” miała pełnić podobną rolę, tyle tylko, że w stosunku do wody. Miała zamieniać zwykłą wodę w wodę o jakości życiodajnej właściwej dla wody źródlanej. Urządzenie składało się z jajowatej komory ze specjalnie ukształtowanym wirnikiem, poddającym ciecz wirowaniu i pulsacjom. Dodatkowo źródłem „cudownych właściwości” miał być dwutlenek węgla, którym woda była nasączana. Resztę, mam nadzieję, wyjaśnia rysunek (o ile w ogóle można mówić tu o jakimkolwiek wyjaśnieniu). Dodam do tego jedynie krótki opis samego autora, zawarty w jego liście z maja 1936 r.:

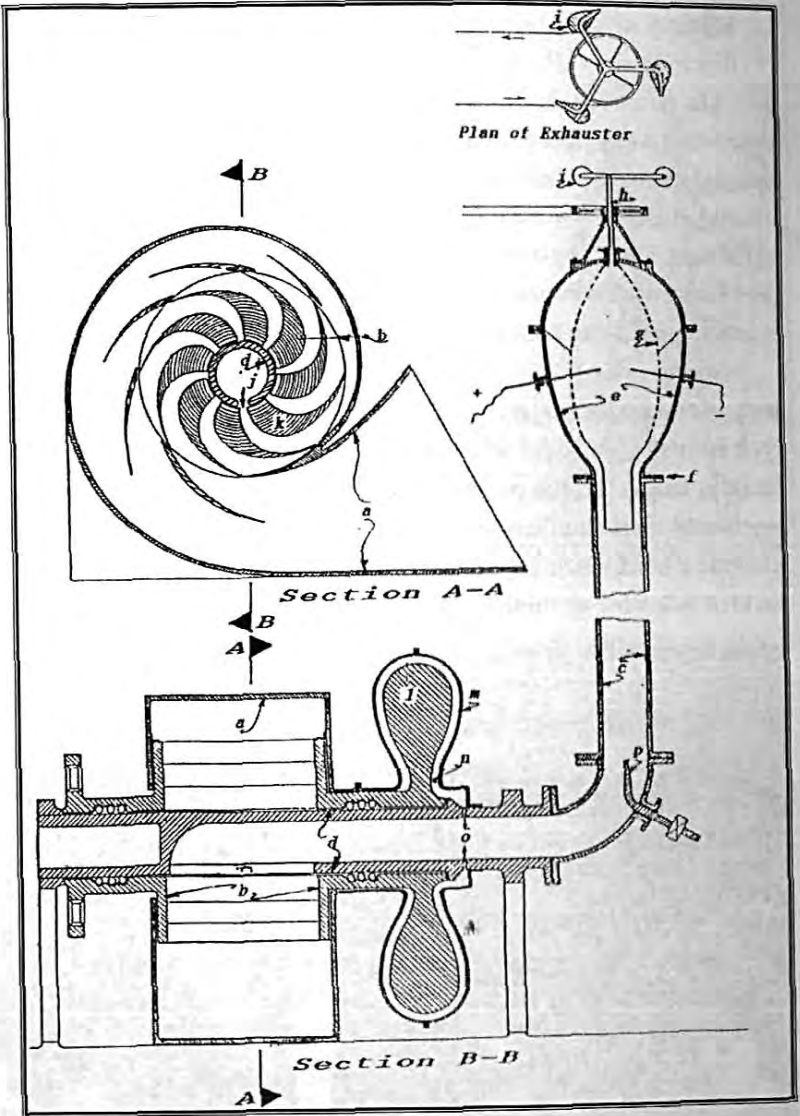
„Ta maszyna (o szerokości 30 cm i wysokości 50 cm) odparowuje, oczyszcza i destyluje wodę w drodze procesów zimnych. Jednocześnie podnosi ona wodę na dowolną wysokość, do czego prawie nie potrzeba mocy.

Jest to korpus zawierający wewnętrzne i obwodowe dysze, zastępujące lub wspomagające zawory stosowane w obecnie produkowanych maszynach.

Moje maszyny wymagają jedynie impulsu i przejawiają swą reakcję w postaci wyrzutu, który nie tylko wytwarza ciśnienie, ale i podciśnienie. To z kolei prowadzi do ruchu pozbawionego oporu, dzięki reakcji czyniącej z obecnie pojmowanego oporu „czynnik napędowy”.

Jak zwykle brzmi to na tyle dziwnie, że trudno się do tego ustosunkować, chociaż... przychodzi mi do głowy możliwa interpretacja. Z opisów wynika, że „Repulsine” miała „uszlachetniać” zwykłą wodę głównie przez poddawanie jej ruchowi wirowemu z bardzo dużą prędkością. Być może chodzi o pewną analogię do procesu „magnetyzacji” wody – o ile jest to proces w pewnym sensie autentyczny. Jak działa „magnetyzer”, – czyli silny magnes? Cząsteczki wody mają charakter dipolowy i silne pole zewnętrzne powinno po prostu ustawiać te cząsteczki w jednym kierunku. Z fizycznego punktu wi-

„Turbina powietrzna” – jeden z projektów, przekrój ze specyfikacji patentu Nr. 145141.



dzenia podobny skutek powinno dać wirowanie wody z dużą prędkością, gdyż jej moment dipolowy wynika m.in. ze spinu (wirowania) jąder atomowych. Wirowanie wody również powinno więc „polaryzować” cząsteczki. Słabą stroną takiej hipotezy jest stosunkowo mała prędkość osiągana przez wirnik urządzenia napędzany zwykłym silnikiem elektrycznym bez żadnej przekładni. Zwykła woda z kranu też na ogół „doświadcza” wirowania – w turbinie i to z raczej dużo większą prędkością, a pomimo tego cudownych cech raczej nie posiada...

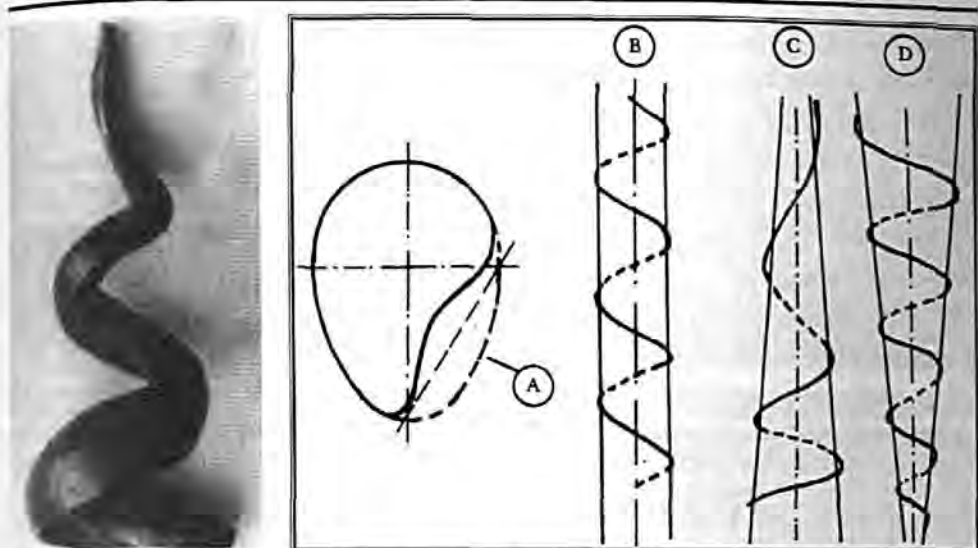
Musimy więc z konieczności pozostawić te rozważania na boku.

Rozwinięciem „Repulsine” był „Repulsator”, działający na podobnej zasadzie, lecz w cyklu zamkniętym. Pojemnik w kształcie jaja zawierał 10 – 11 litrów zwykłej, przygotowanej wody, która dzięki silnikowi elektrycznemu miała być wirowana przez kilkadziesiąt minut. Oprócz tego dodawano mieszanek soli mineralnych, zawierających pierwiastki śladowe, dwutlenek węgla a na obwodzie „jaja” znajdowała się rurka z cieczą chłodzącą. Chodziło o to, aby temperatura wody nie przekraczała 90°C. Jednak i w tym przypadku trudno dopatrzeć się oznak jakiegóż rewolucji technicznej czy cudownych właściwości „produktu końcowego”.

Możemy więc przejść do opisu urządzeń najciekawszych, zwłaszcza z uwagi na wojenny kontekst – „latających talerzy” czy raczej „bączków” – a przynajmniej tych, których istnienie nie budzi wątpliwości (zdjęcia prototypów) a ich budowa i zasada działania są znane. Trzeba przyznać, że z czysto mechanicznego punktu widzenia były to wynalazki nieskomplikowane. Były to urządzenia o średnicy po ok. 65 cm, wykonane głównie z blachy stalowej i miedzianej – o grubości rzędu 1 mm oraz prawdopodobnie z lekkich odlewów aluminiowych. Zasadniczą część napędu tworzył w obu przypadkach



Skonstruowane przed wojną urządzenia do spalania drewna.



Schematyczne profile wirników badanych w Stuttgarcie, przekrój rury „ssącej” w kształcie rogu antylopy kudu –po lewej oraz rura w widoku.

tw. „centripulser” – dwie warstwy odpowiednio wyprofilowanych i nieruchomych płyt blaszanych, pomiędzy którymi przepływało powietrze: od środka w kierunku obwodu. Na górnej powierzchni, w pobliżu środka znajdowały się dwa rzędy otworów, przez które powietrze było zasysane pomiędzy wspomniane warstwy. Prześwit między nimi był stosunkowo duży w części centralnej – do paru centymetrów i bardzo znacznie zwężał się. W pobliżu obwodu była to już bardzo cienka szpara. Charakter wyprofilowania (falisty kształt) powodował, że przetłaczane powietrze było wirowane z dużą prędkością. Na zewnątrz względem tej części napędu znajdował się element wirujący – przymocowany do umieszczonej niżej płyty pierścien z „wieńcem” łopatek, przypominających łopatkę turbiny. Wymuszał on przepływ powietrza zasysając je, generował jeszcze silniejsze wiry a w końcu wyrzucał je przez zakrzywiony profil przypominający pierścieniową dyszę, tworzącą obwód całego obiektu. W ten sposób generowany był także odrzut.

Oś całości stanowił wał, którego zadaniem było przekazywanie napędu do „pierścienia turbiny”. Na dole wał ten był połączony z silnikiem i był z nim rozłączany w momencie startu. Silnik ten nadawał pierścieniowi prędkość do 20 tys. obrotów na minutę – bardzo dużą, biorąc pod uwagę średnicę pierścienia nieco powyżej 0,5 m.

Nie bardzo wiadomo natomiast, co znajdowało się w górnych częściach obu wykonanych modeli, gdyż zajęli się nimi Rosjanie a opis pochodzący od samego autora nie zachował się. Prawdopodobnie był to dodatkowy silnik, działający w czasie lotu, połączony z jakąś „turbina wstępnego sprężania”.

Reszta całej historii została już opisana we wcześniejszej części tego rozdziału.

Powstaje oczywiście przy tej okazji pytanie, czy rzeczywiście były to urządzenia antygrawitacyjne? No cóż, na pewno konwencjonalny składnik siły nośnej był znaczący. Reszta wymagałaby gruntownego przebadania, a to nie jest możliwe bez dostępu do samych prototypów. Sprawa tych prac Schaubergera jest więc nadal tajemnicą...

Ale tajemnicą budzącą też mieszane odczucia, podobnie jak kontrowersyjna osoba samego autora. Z takim też niejednoznacznym nastawieniem dotarłem jesienią 2000 roku do posiadłości Schaubergerów – dzieci i wnuków Viktora. „Posiadłości”, gdyż nie jest to jakiś tam zwykły dom, ale... prawdziwy pałac, zamieniony w rodzaj centrum pamięci – mieszczący archiwum, ekspozycje pogładowe i salę prelekcyjną. Żyjąca jeszcze rodzina jest całkowicie tej działalności oddana, utrzymuje np. małe biuro i odniosłem wrażenie, że zarabia na „sprzedawaniu” dziedzictwa „dziadka” (formalnie: prostego leśnika), całkiem konkretne pieniądze. Jednocześnie, jak wspomniałem, zachowuje się w sposób bardzo skryty, tajemniczy i nie licząc paru „wybrańców”, podchodzi do wszystkich nieufnie.

Było to bardzo dziwne, wręcz podejrzane, przykuwające uwagę. Czyżby w całej sprawie miało być jakieś „drugie dno”? Zamierzałem się właśnie o tym przekonać, korzystając z okazji, że niemal przez przypadek zostałem potraktowany jako ktoś ze „ściśłego grona”.

W pierwszym rzędzie zapytałem oczywiście wnuczka Viktora o kwestię antygrawitacji. Zadałem może nazbyt uczone pytania, ciekaw byłem reakcji: czy ktokolwiek próbował analizować to z punktu widzenia teorii Einsteina – Cartana? Czy próbowano łączyć to z silnym, zewnętrznym polem magnetycznym w celu lepszej polaryzacji wirujących cząstek? Czy w ogóle jest jakiś opis matematyczny tej siły, która była generowana?

Pytania wywołały chyba pewne zmieszanie, ale wyczułem też nutę lekceważenia. Reakcją był potok słów na temat... akustyki, „teorii monochordu”, oktaw, sił życiowych itp. W istocie więc, żadnej rozmowy na ten temat nie było, bo trudno było to nazwać rozmową.

Zostałem poprowadzony do piwnic, gdzie znajdowały się najróżniejsze, oryginalne jeszcze modele wielu urządzeń (jednak oprócz „latających bączków”). Muszę przyznać, że był to szok, zwłaszcza w połączeniu ze słowami komentarza, jakie słyszałem. Widać było robotę praktycznie rzemieślniczą, liczne elementy z blachy miedzianej lub mosiężnej, lutowane ręcznie, jak usłyszałem: często ze złomu. Kluczowy element jednego z „eksponatów” został wykonany w 1945 roku z koła zniszczonego czołgu. No cóż, nie sprawiało to wrażenia techniki o charakterze przełomowym. W tej sytuacji mój sceptycyzm jeszcze wzrósł...



Jeden z prototypów „latających bączków” –pozbawiony (w 1945 r.) górnej części przypomina raczej dysk.

Ten sam prototyp częściowo rozmontowany, na górnym zdjęciu widać wloty powietrza na wewnętrznych pierścieniach. Dolne zdjęcie ukazuje odsłonięty pierścień turbiny –główny element napędzający. Z fizycznego punktu widzenia wygląda najzupełniej klasycznie.

Po tym jednak odebrałem zupełnie inny sygnał. Przeszliśmy do części biurowo-archiwalnej, gdzie uchylono przynajmniej częściowo zasłonę tajemnicy. Tak się składa, że zarówno ja, jak i Nick Cook, byliśmy zainteresowani głównie okresem wojennym – i cóż się okazało? Okazało się mianowicie, że część archiwum – zawierającego praktycznie całą korespondencję wszelkiego rodzaju i prawie wszystkie plany -, dotycząca tego okresu, to istna kopalnia. Viktor Schauberger był wtedy bardzo zajęty... i prawdopodobnie głównie to jego rodzina wciąż próbuje ukryć – zaprzedanie się Hitlerowi.

Niestety nie mogłem wykonywać notatek ze wszystkich materiałów ani kopiować wszystkiego, jednak jestem w stanie wypunktować przynajmniej niektóre, praktycznie nieznanne epizody z lat 1939 – 1945. Ewidentnie pokazują one, że prace Schaubergera były zwyczajnie częścią wysiłku badawczo-zbrojeniowego III Rzeszy. Realizowano

nie jeden projekt, lecz wiele. Oto i wyliczenie, sporządzone na podstawie wybiórczego przejrzenia oryginalnej korespondencji, w ciągu jednego dnia:

1. List z 6 listopada 1940 r. Viktor współpracuje z firmą Adolfa Kampfera w Berlinie-Charlottenburgu. Na ukończeniu jest budowa jakiegoś urządzenia wykorzystującego tlen i wodór. Prawdopodobnie jest to jakieś rozwinięcie „Repulsatora”. Rozwija się silny konflikt pomiędzy Schaubergerem a szefostwem firmy, oskarżanym przez niego o próbę kradzieży myśli technicznej.
2. 31 stycznia 1941 r. Viktor wysyła list do urzędu patentowego, w którym próbuje dowieść, że jego urządzenie (nie wiadomo, jakie) powoduje powstawanie „struktur wyższego rzędu” w cieczach. Przed wirnikiem urządzenia ma powstawać „bioelektryczna/magnetyczna próżnia”. Wspomniano prędkości obrotowe do 30 tys. obr./min.
3. 6 marca 1941 r. Warsztaty Kampfera zostają zamknięte a pracownicy zwolnieni. Schauberger twierdzi, że firmy Kampfer i Kertl „pracowały równolegle nad tym samym”. Odnotowuje, że już od kilku tygodni Gestapo bacznie przygląda się jego pracy.

Podobne działania, rękami Gestapo, Himmler realizował przecież w stosunku do Wernhera von Brauna i innych kluczowych naukowców programu raketowego... Czyżby próba „przejęcia” Schaubergera przez SS?

4. 7 kwietnia 1941 r. W ramach „zmagani” z urzędem patentowym Schauberger otrzymuje list, w którym stwierdzono, że może on otrzymać patent, o ile nie będzie domagał się zastrzeżenia praw do zastosowań lotniczych. Chodziło o rodzaj turbiny z wieńcem kanałów powietrznych wyprofilowanych analogicznie do rogów antylopy Kudu. Turbina pełniłaby podobną funkcję jak śmigło i miała być napędzana silnikiem tłokowym. Próba zastrzeżenia patentowego wynikała z tego, że wynalazek ten próbował rozwijać Heinkel – na podstawie planów Schaubergera i bez jego wiedzy. Prawdopodobnie koncern ten wpłynął na Urząd Patentowy, aby nie przyznawał autorowi pełnej ochrony.
5. 9 maja 1941 r. Gestapo naciska na kontynuowanie prac, ale w tajemnicy i pod nadzorem „Rüstungsinspektion” – Inspekcji Zbrojeniowej (Speera?).
6. 19 czerwca 1941 r. Viktor wysyła list do swego syna Waltera, w którym informuje go, że realizuje tajne prace w Sudetach – w miejscowości Gablonz (Jablonec), a więc niemalże na Dolnym Śląsku. Wart odnotowania jest fakt, że już wtedy Schauberger pracował na rzecz zbrojeń. Wkrótce po tym okazuje się, że chodzi właśnie o wspomniany powyżej napęd turbinowy dla samolotów. Pojawiają się jednak problemy techniczne. Heinkel źle zinterpretował część rysunku i wykonał turbinę błędnie. Przepływ powietrza jest turbulentny a sprawność turbiny – niewielka.

7. 7 lipca 1941 r. Prace Heinkla trwają, deklaruje on, że samolot z nowym napędem będzie rozwijał prędkość 1000 km/h. Wciąż jednak są jakieś problemy techniczne. Schauberger znajduje się wtedy w miejscowości Neudek (Nejdek – ok. 100 km na zachód od Pragi, koło Jachymova) i będzie tam jeszcze przebywał przez pewien czas. Prawdopodobnie chodzi o jakiś zamek.
- Tego samego dnia okazuje się, że prace w austriackiej firmie Kertl posuwają się do przodu w żółtym tempie. Viktor otrzymuje od nich zaliczkę, podejrzewa, że ktoś celowo sabotuje prace.
8. W pierwszej połowie lipca dr Bachem z „Wu.Kde.” w Berlinie przekonuje Schaubergera, że powinien on zaprzestać prac nad napędem dla samolotów i okrętów podwodnych a powinien skoncentrować się na swym wynalazku pozwalającym zamieniać wodę morską w wodę pitną.
9. Latem 1941 r. z Schaubergerem kontaktuje się pośrednik Heinkla. Związane jest to z planem zastosowania w praktyce „napędu Schaubergera” (!?), zamiast klasycznego. W tym samym czasie podpisuje on umowę o współpracy z jakąś „tajną fabryką” w Sudetach.
10. Wrzesień 1941 r. S. uskarża się na skromne tempo prac w firmie Kertl i rozważa różne przyczyny tego stanu rzeczy. Pojawia się nazwa jakiegoś miejsca – „Morgenstern”. Nie udało mi się zidentyfikować go z nazwą miejscowości.
11. Pod koniec tego roku Schauberger przebywa głównie w miejscowości Neudek/Nejdek. Podróżuje pomiędzy jakimiś zakładami zbrojeniowymi znajdującymi się w tym rejonie a zakładami Messerschmitta w Augsburgu. A więc współpraca z Messerschmittem?
- W grudniu Schauberger pisze z Neudek, że czeka na dostawę „silnika rozruchowego”. Następnie udaje się do Liberca (Reichenberg) aby załatwić formalności związane z transportem urządzenia (wspomnianego silnika?) z miejscowości, wymienionej tym razem jako Morchenstern.
12. W roku 1969 w liście od jednego ze znajomych V.S. pojawia się informacja, że w roku 1941 do Neudek przeniesione zostają zakłady metalowe, prawdopodobnie z miejscowości Genssenkirchen lub Gelsenkirchen. Otrzymują one egzemplarz „Repulsatora” do badań.
13. W ostatnich tygodniach 1941 r. Schauberger wyjeżdża do fabryki Messerschmitta oraz do zakładów Heinkla w Rostocku.
- Okazuje się, że w tym pierwszym miejscu testowany był „Repulsator”. Pomyłkowo znalazł się on w stercie złomu i został przetopiony. Z opisu wynika, że mogło chodzić o coś zupełnie innego, niż „Repulsator” opisany wcześniej. Zresztą nazwa ta znaczy

„coś, co odpycha”, a więc nie ma nic wspólnego z „biosyntezą”.

14. Na początku 1942 roku Heinkel wychodzi do V.S. z jeszcze jedną propozycją. Proponuje podział zysków ze sprzedaży nowego napędu „pół na pół”, o ile sprawdzi się on w praktyce. Schauberger odmawia po raz kolejny.
15. Marzec 1943 r. S. otrzymuje „Ausweis” wydany przez zakłady Messerschmitta. Prawdopodobnie chodzi o stałą przepustkę.
16. Styczeń 1944 roku – wiedeńska firma „Ernest Kubiznak” otrzymuje zlecenie na naprawę egzemplarza „Repulsatora” – zgodnie z „dyrektywą Führera”. Okazuje się jednak, że powstał błąd odlewu i nie można osiągnąć dużych prędkości obrotowych. Wzmianka ta jest o tyle znamienna, że z opisów „biotechnicznego” „Repulsatora” wynika, że nie stosowano w nim części odlewanych, a w każdym razie na pewno nie w elementach wirujących. Nie można więc wykluczyć, że wiedzę o „prawdziwym Repulsatorze” legendowano czymś zupełnie nieistotnym.

Wkrótce po tym Schauberger stawia się w obozie koncentracyjnym Mauthausen, gdzie zaczyna tworzyć własny zespół badawczy.

Jak więc widać, „sprawa” związana z działalnością tego człowieka jest zagadnieniem zagmatwanym. Niezależnie od wspomnianych mętnych opisów autora i współczesnych interpretacji pozostaje główny problem, polegający na tym, że wciąż znamy tylko część prawdy...

JESZCZE O NIEZWYKŁYCH POSZUKIWANIACH REICHSFÜHRERA SS

Poszukiwania opisane w pierwszym rozdziale, chyba przywołujące skojarzenia z filmami serii „Indiana Jones...” świadczą oczywiście o mistycyzmie ścisłego kierownictwa SS, o wierze w posłannictwo dziejowe, w to, że o losach świata decydują tajemne siły wywodzące się z mroków prehistorii i dziedzictwa najstarszych cywilizacji (oczywiście zwłaszcza pierwotnej „cywilizacji aryjskiej”). To prawda, ale nie cała prawda. W gruncie rzeczy bowiem zarówno legendarny Baphomet, Arka Przymierza, Włócznia Przeznaczenia, tybetańskie amulety, czy nawet insygnia Attyli mają jeszcze jedną wspólną cechę. Były to też okultystyczne i propagandowe klucze do władzy nad światem a cała reszta mogła być traktowana instrumentalnie.

Jest jeszcze jedna sprawa, która wpisuje się w tą kategorię. Chodzi o weryfikację legend, istniejących na całym świecie, a dotyczących mitycznego, podziemnego ośrodka władzy – wspomnianej już Szambali, ale również jej odpowiedników opisywanych w przypadku innych kontynentów. Tego Himmler też poszukiwał i to bynajmniej nie tylko na papierze.

Istniał zresztą pewien związek pomiędzy tą sprawą a niemieckimi planami podboju Wschodu. Jak pisał Trevor Ravenscroft w książce „Włócznia przeznaczenia” („The spear of destiny”):

„Haushofer przydzielił geografii w szaty mistycyzmu rasowego, dając Niemcom pretekst do powrotu na tereny położone w głębi Azji, z których, jak powszechnie uważano, wywodzi się rasa aryjska. W ten perfidny sposób skłonił naród niemiecki do podboju całej Europy Wschodniej i olbrzymich obszarów Azji Wewnętrznej, rozciągających się na przestrzeni ponad czterech tysięcy kilometrów ze wschodu na zachód pomiędzy Wołgą i Jangcy-ciangiem i obejmujących na południu także Tybet. Zdaniem Haushofera każdy, kto zdobędzie całkowitą kontrolę nad tym kluczowym obszarem, rozwinie go ekonomicznie i stworzy dlań wojskowy system obrony, osiągnie niezachwiane panowanie nad światem”.

Haushofer był też twórcą pojęcia i koncepcji „geopolityki”.

Nie tylko on wywierał w tym względzie wpływ na Hitlera i Himmlera. Wiadomo, jak już wspomniałem, że w Berlinie przebywała grupa Tybetańczyków – do samego końca wojny, w tym tajemniczy lama, znany z zielonych rękawiczek. Jak podaje inny autor analizujący to zagadnienie – Eric Norman:¹⁵

„Tybetańczyk ten wygłosił kilka publicznych przepowiedni, które drukowano w nazistowskich gazetach. Przepowiedział na przykład, ilu ludzi Hitlera zostanie wybranych do Reichstagu. Propaganda hitlerowska donosiła również, że lama zna tajemnicę wejść prowadzących do krainy Agharti”.

A Agharta to po prostu inna nazwa Shambali. Hermann Rauschning – jeden z najważniejszych krytycznych biografów Hitlera (choć do wybuchu wojny – jego zwolennik, współpracownik i powiernik) pisał o tym, że Hitler był autentycznie przekonany co do tego, że przedstawiciele podziemnej rasy nadludzi czy półbogów żyją „wśród nas” i wielokrotnie się z nim kontaktowali. Pewnego razu powiedział podobno:

„Nowy człowiek jest już wśród nas, jest tutaj! Jak to się panu podoba?”

Nie mogę przy tej okazji powstrzymać się od zacytowania jeszcze jednego, znamienitego opisu pochodzącego od Rauschninga:

„Mój informator szczegółowo opisał dziwną scenę – nie uwierzyłbym w tę relację, gdyby nie pochodziła z wiarygodnego źródła. Hitler stał w swym pokoju, chwiejąc się i wodząc dookoła dzikim wzrokiem. „To on! To on! On tu był!” – wykrztusił. Usta miał zupełnie białe, po twarzy sływał mu pot. Nagle zaczął recytować liczby, dziwaczne słowa i urywane zdania, wszystko kompletnie pozbawione sensu. Brzmiało to okropnie. Używał dziwnie skonstruowanych i całkowicie niezgodnych z niemiecką składnią wyrażen. Potem stanął nieruchomo, poruszał tylko ustami.”

„Dziwnie skonstruowanych i całkowicie niezgodnych...” – a może nie był to język niemiecki? Konsekwencją tego było to, że do tego „ukrytego świata” próbowano fizycznie dotrzeć. Wróćmy jeszcze na chwilę do książki Erica Normana:

„Przechwycone po upadku Trzeciej Rzeszy dokumenty nazistowskie wskazują na to, że Hitler i jego zwolennicy zorganizowali wiele nieudanych ekspedycji... Sfrustrowanym geografom i naukowcom niemieckim rozkazano odnaleźć tunele prowadzące do siedzib ludu Vril-ya. Kopalnie w Niemczech, w Szwajcarii i we Włoszech przeczesywano skrupulatnie w poszukiwaniu korytarzy wiodących do kraju podziemnych miast. Hitler nakazał nawet pewnemu pułkownikowi o zapędach intelektualnych zbadać dokładnie życie Bulwera Lyttona, mając nadzieję, że dowie się, kiedy i gdzie autor odnalazł grotę Vril-ya... Od roku 1936 naziści w regularnych odstępach czasu wysyłali elitarne oddziały do jaskiń i kopalń Europy. Całe ekipy speleologów przeszukiwały jaskinie, polując na nowego, wysoko rozwiniętego człowieka.”

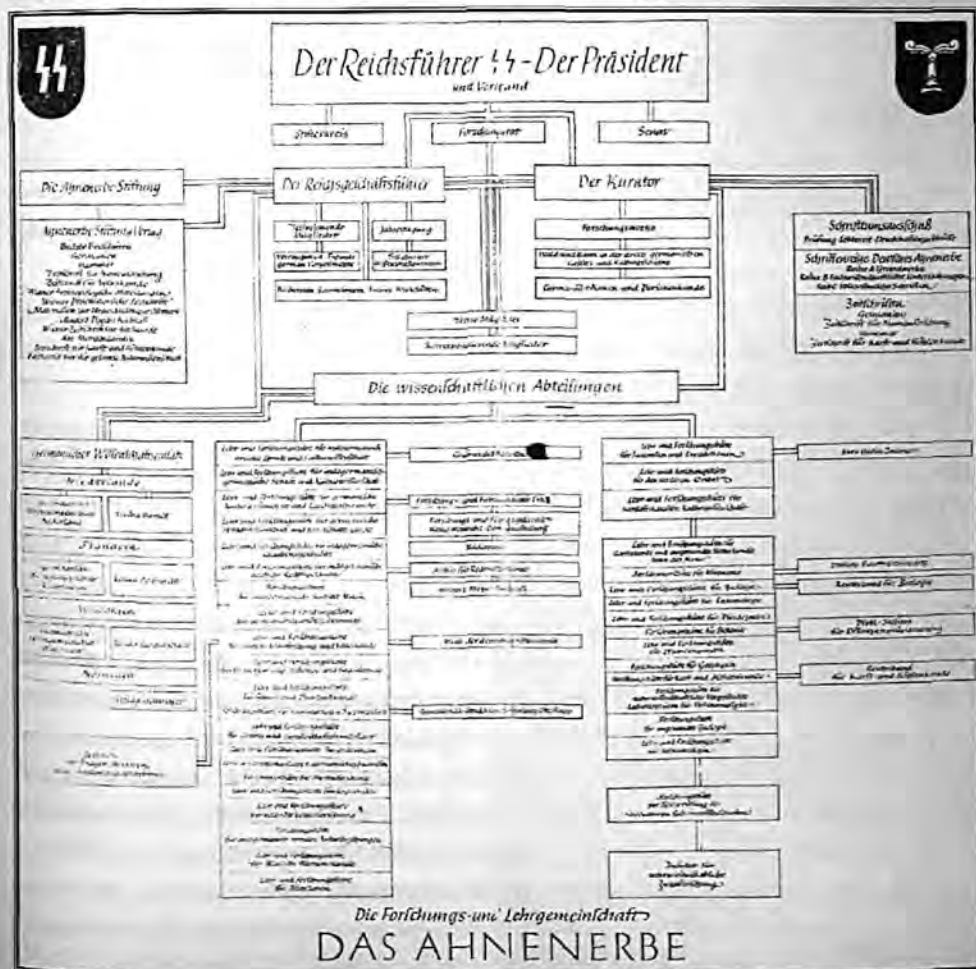
Wiadomo np., że penetrowano rejon, otoczonej legendami czeskiej jaskini, położonej koło miejscowości Plavince i Luboczna. Drobiazgowo badano ogromną i nie mniej legendarną jaskinię Borodla, znajdującą się koło miejscowości Aggtelek na Węgrzech i wiele innych.

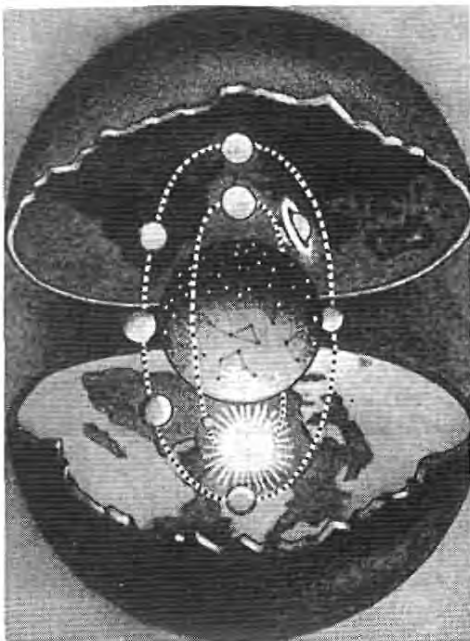
Zadaniem tym obarczony został, czy raczej realizację tych poszukiwań skwapliwie wziął na siebie – Heinrich Himmler. „Skwapliwie” – gdyż wywalczył on dla swej pseudonaukowej organizacji „Deutsches Ahnenerbe” monopol na badania jaskiń. Dziś może to wyglądać na żart, ale jak jasno wynika z przedstawionych powyżej opisów, Hitler traktował tą sprawę śmiertelnie poważnie.

Oto jak wyglądało to tych badań:

„Ahnenerbe” założono w 1935 r. a na początku 1939 zakończono proces organizacyjny związany z utworzeniem specjalnego wydziału do spraw badania zjawisk krasowych i jaskiń (Abteilung für Karst- und Höhlenkunde), jego szefem został dr. inż. Hans

Schemat Deutsches Ahnenerbe z końcowego okresu wojny.





Ilustracja koncepcji „wydrążonego świata” z niemieckiego „opracowania” niejakiego Neuperta z 1935 r.

o wszechobecności pra-Germanów w dawnej Europie. Chodziło tu o poszukiwania śladów pradawnych siedzib ludzkich w jaskiniach i ewentualnie pochówków.

3. Wątku „mistycznym” – w przypadku tych jaskiń, co do których istniały legendy mówiące o sztucznym, niesamowitym pochodzeniu całości lub części podziemi. Ten aspekt poszukiwań realizowano w tajemnicy i dowiedzieliśmy się o nim dopiero po wojnie. Dotyczył on głównie byłej Czechosłowacji i Węgier, czynnymi działaniami objęto prawdopodobnie tylko kilka „obiektów”.

Największe znaczenie, przynajmniej w sensie ilościowym, miały więc poszukiwania określone w punkcie drugim. Odznaczył się tu wybitny austriacki prehistoryk, a wkrótce również SS-Untersturmführer, dr Kurt Willvonsender, szef wydziału prehistorii w wiedeńskim instytucie ochrony pomników przyrody (Zentralstelle für Denkmalschutz). W czerwcu 1939 roku wydzielono też np. specjalny zespół „Ahnenerbe”, kierowany przez dr Hansa Schleifa, szukający z inicjatywy Himmlera, dowodów pobytu „Germanów” na terenie północnej Jugosławii. Wkrótce po zajęciu Czechosłowacji rozpoczęto projekt poszukiwawczy dotyczący południowoczeskiego miasteczka Unterwisternitz, gdzie już wcześniej obficie znajdowano kości mamutów zmieszane z ludzkimi, do dyspozycji postawiono fundusz w wysokości 20000 R.M.

Brand. Wydział ten objął swą działalnością dotychczasowe Niemcy i Austrię, ale już parę miesięcy później aktywnie wkroczył na ziemię byłej Czechosłowacji a przede wszystkim południowych Tatr, gdzie nie brakowało słabo wtedy poznanych jaskiń.¹⁶

Czasy były szczególne i charakter zadań, jakie miały być realizowane też niewiele przypominał normalną, pokojową działalność naukową, zresztą i sam związek „Ahnenerbe” z nauką też był raczej luźny. Zamierzano skoncentrować się na trzech zagadnieniach:

1. Badaniach „naukowo-gospodarczych”, np. związanych z występowaniem złóż szpatu w b. Austrii, ale zadania te szybko zeszyły na dalszy plan.
2. Badaniach mających uzasadniać tezę



Wizja „podziemnego świata Szambali” autorstwa Mikołaja Roericha z lat dwudziestych.

Obok: Szkic jednej z komór węgierskiej jaskini Borodla, badanej przez specjalistów Ahnenerbe.

Wybuch i eskalacja wojny oznaczały czystki, reorganizację, ale też porzucenie niektórych „zadań” i objęcie innych. Na początku 1943 r. utworzono np. w oparciu o część kadry tego wydziału „batalion krasowy”, dowodzony przez SS-Standartenführera dr Hansa Branda. Został skierowany do walki w zachodniej Jugosławii, w związku z wykorzystywaniem przez partyzantów Tity rozgałęzionych systemów tamtejszych jaskiń jako baz. Działalność batalionu (400 – 500 ludzi!) jaskiniowego SS mogłaby z powodzeniem posłużyć za kanwę niezłego filmu sensacyjnego! Oficjalnie nazywało się to SS-Karstwehrtruppe. Oczywiście for-



macja ta podlegała Waffen-SS i podobno powstała z inspiracji SS-Gruppenführera Hansa Jüttnera, dowódcy SS-Führungshauptamt.¹⁶ Główną bazą partyzancką była jaskinia Postojnska, zawierająca liczne obszerne hale, łącznie prawie 30 km bieżących, plus mniejsze jaskinie rozsiane po okolicy.

Jeśli chodzi natomiast o badania, to bardzo duże i chyba największe znaczenie uzyskało w czasie wojny terytorium byłej Czechosłowacji – a zwłaszcza słowackich Tatr! Poszukiwania czysto archeologiczne prowadzono koło miejscowości Przedrost, do lata 1943 r. kontynuowano wykopaliska w rejonie Unterwisternitz, w okręgu Pistjan oraz koło miejscowości Moravany, gdzie „po raz pierwszy odkopano osadę z epoki kamienia łupanego”.¹⁶

O tym aspekcie działalności „Ahnenerbe” wiemy, wprawdzie niewiele, z dokumentów. Świadcstw pisanych dotyczących poszukiwania „podziemnego świata”, weryfikacji legend, jest jednak jeszcze mniej (przy okazji: na schemacie organizacyjnym „Ahnenerbe” z 1939 roku „pojawia się” pozycja oznaczona jako „Wydział ds. weryfikacji tzw. wiedzy tajemnej” – i to wszystko, co wiadomo na jego temat). Wiemy, że największym zainteresowaniem „cieszyła się” północna Słowacja, prawdopodobnie Beskidy. Czego tam konkretnie szukano, możemy się jedynie domyślać, ale z bardzo dużym prawdopodobieństwem możemy przyjąć, że Niemcom chodziło o weryfikację legend dotyczących pewnego niezwykłego miejsca, znajdującego się gdzieś na południowych stokach masywu Babiej Góry.

Legendy te funkcjonują zarówno po stronie słowackiej, jak i polskiej, jednak zawarte w nich szczegóły wskazują, że chodzi raczej o ten sam obiekt – po naszej stronie granicy określane najczęściej mianem „szklistego tunelu” a po słowackiej znany jako „księżycowa jaskinia”.

Przyjrzyjmy się więc tym legendom, prawdopodobnie najciekawszym spośród wszystkich przekazów tego rodzaju, dotyczących Europy... Bez wątplenia obiektem zainteresowania „numer jeden” jest Babia Góra. Legend na jej temat jest bardzo wiele, zacznijmy od dosyć reprezentatywnego przykładu – opowieści spisanej w latach sześćdziesiątych i zawartej w niepublikowanej pracy profesora Jana Pająka oraz K. Pańszczyka¹⁷. Jest to opowieść miejscowego (tzn. „babiogórskiego”) górala:

„Kiedy byłem w twoim wieku, pewnego wieczoru mój ojciec zapowiedział, że następnego ranka wyruszymy w daleką drogę. Nazajutrz rano zdziwiło mnie to, że zamiast zwykłych przygotowań do jarmarku ojciec zapakował tylko naftową latarnię, zapaliki oraz zapas jedzenia. Moja ciekawość jeszcze wzrosła, kiedy wyruszyliśmy w drogę piechotą, zamiast – jak zwykle – furmanką. . . Kiedy wyszliśmy poza granicę naszej wioski, ojciec przewodzący w milczeniu przywołał mnie do siebie.

– Wicek – powiedział – nadszedł czas, byś poznał sekret naszych przodków. Sekret ten przekazujemy z ojca na syna od drzewniech czasów. Trzymamy go w rodzinie na czarna godzinę. Oprócz mnie wie o tym kilku członków rodzin rozrzuconych po innych wioskach. Sekret ten, to ukryte przejście podziemne. Bacz teraz na drogę, bo pokaże ci ją tylko raz. Musisz więc ją dobrze zapamiętać.

Dalszą drogę odbywaliśmy w milczeniu. Podeszliśmy do podnóża Babiej Góry od strony czeskiej (Autorowi chodziło chyba o stronę słowacką, bo ani Babia ani Barania Góra nie ma stoków po czeskiej stronie granicy. Obie te góry leżą nieco dalej na wschód od granicy [etnicznej i administracyjnej] słowacko-czeskiej.) - ojciec znowu się zatrzymał i pokazał mi skałkę na wysokości około 1/3 tej góry.

- Wicek – powiedział – zważ na tę skałkę, bo zastania ona wejście do podziemia.

Gdy wspięliśmy się do skałki, zdziwiło mnie, że żadnego przejścia nie było widać. Mój ojciec zaparł się plecami przy narożniku i zaczął pchać. Stałem zaskoczony, bo z bliska skałka wyglądała na zbyt dużą, by jeden człowiek mógł ją popchnąć. – Psia... - ojciec zaklął – długo nieotwierana, musiała się zastać, nie gap się! – pomóż mi pchać! Przyskoczyłem i popchnąłem – skałka drgnęła i po początkowym oporze posunęła się zadziwiająco lekko. Odstąpiło się wejście dostatecznie duże, by przejechać przez nie wozem. Ojciec zapalił latarnię naftową, po czym popchnął skałę na poprzednie miejsce. Zatrzasnęła ona całkowicie otwór wejściowy. Następnie ruszył tunelem, jaki zaczynał się od tej skałki i prowadził dość stromo w dół. Zatkotał mnie z wrażenia, bowiem czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem. Tunel był ogromny i zmieściłby się w nim nie tylko wóz, ale cały pociąg. Przebiegał prosto jak strzała. Jego przekrój był kolisty, ale nieco spłaszczony od góry. Powierzchnia była lekko pofalowana, jakby pokarbowana ostrzem ogromnego wiertła. Ściany miał lśniące, jakby wylane szkłem. Chociaż raptownie schodził w dół, był zadziwiająco suchy, ani śladu wody spływającej po spągu i ścianach. Zauważyłem też, że nasze buty stąpające po szklistej podłodze nie wydawały żadnego dźwięku, jakiego można by się spodziewać po skale, odgłos kroków był przytłumiony, jakby spąg tunelu wyłożono jakimś tworzywem.

Po dosyć długim marszu tunel wpadł do ogromnej komory w kształcie beczki stojącej nieco skośnie. Ściany tej komory były szkliste, jak ściany tunelu, którym przyszedliśmy, ale nie były one jednak karbowane, za to spąg i ściany były uformowane w jakiś dziwny spiralny wzór, wyglądający jak zastygły wir. W komorze tej zbiegały się wyloty kilku tuneli. Niektóre z nich miały przekrój okrągły, niektóre trójkatny. (...)

Podeszliśmy do jednego z tuneli i zauważyłem przy jego wylocie kilkadziesiąt niezdatnych rysunków nagryzmołonych czarną farbą czy zaschniętą krwią. Ojciec wskazał mi rysunek po rysunku, objaśniając jego znaczenie. Jeden z nich oznaczał Wawel w Krakowie [!].

Kiedy tak objaśniał mi znaki, niespodziewanie dał się słyszeć odgłos dudnienia, syku i metalicznego pisku – przypominało to przejeżdżający pociąg parowy, kiedy zmienia szyny na zwrotnicach lub hamuje. Ojciec zamilkł i powiedział:

- Resztę objaśnię ci w drodze powrotnej, teraz musimy szybko wracać.

Zaczęliśmy się szybko wspinać szybem wejściowym, ścigani coraz głośniejszym dudnieniem i metalicznym piskiem. Ojciec wyraźnie się niepokoił i często oglądał za siebie. Gdy dopadliśmy skały przy wejściu, syk i pisk były tak głośne, jakby pociąg hamował tuż za naszymi plecami. Po wyjściu na zewnątrz i zatrzaśnięciu skały, ojciec padł na ziemię zdyszany. Po dość długim odpoczynku zaczął wyjaśniać:

„Tunele, jakie widziałeś, nie były wykonane przez ludzi, a przez wszechmocne stwory, które mieszkają w podziemiach. Stwory te używają tuneli do poruszania się w podziemiach od jednej strony świata w drugą. Używają one w tym celu ognistych maszyn latających. Gdyby maszyna taka na nas najechała, to zostalibyśmy niechybnie upieczeni od jej gorąca. Na szczęście głos w tunelu niesie daleko, jest więc czas, by zejść jej z drogi, kiedy się ją usłyszy. Poza tym stwory te mieszkają w innych częściach świata i w te strony przylatują

bardzo rzadko. Nasi przodkowie wykorzystywali te tunele do ukrywania się przed najeźdźcami oraz szybkiego przemarszu w inne strony.”

Dziwne opowieści i legendy, układające się zresztą w jedną całość, towarzyszyły masywowi Babiej Góry od wielu wieków. Prof. Pająk opisuje chyba wszystkie, jakie tylko można było zebrać, ja przytoczę tylko najważniejsze. Rzuca się w oczy np., że od czasów niepamiętnych z wymienionym masywem wiązano działalność „sił nieczystych”, widywano jakies świecące obiekty latające.

W wersji najbardziej rozpowszechnionej nazwa



Mapa rejonu Babiej Góry z zaznaczoną prawdopodobną lokalizacją wejścia do podziemi (via R. Leśniakiewicz).

„Babia Góra” wiązana jest z rzekomymi zlotami czarownic. Główna część masywu nazywana jest z kolei Diablakiem, Diablą Kuchnią, Diablim Tronem, Diablim Stołem lub Czarnym Oczkiem. Drugi ze szczytów: Kuchniń miał wziąć swą nazwę od ognia czy świateł, „jakie kiedyś nieustannie widywano tam nocami. Uważano, że diabły gotują tam coś w swej kuchni”. Inna odmiana tej legendy mówi o tym, że źródłem świateł były przelatujące czarownice.

Ciekawa jest też opowieść spisana przez jednego ze współautorów cytowanej pracy¹⁷ (podejrzewam, że przez K. Pańszczyka) – w 1994 roku, w trakcie rozmowy z personelem schroniska Markowe Szczawiny:

„Kiedy to w dawnych czasach diabły wyprawiały niesamowite harce tam na górze, aby położyć wreszcie kres nocnym straszoniom ktoś wpadł na pomysł, aby obok szczytu zbudować kościółek. Zabrano się więc do budowy kościółka. Kiedy to diabły zorientowały się, co się tam buduje, wpadły w taki szal, że zaczęły nocą kopać tunele pod kościółkiem, kopały i kopały, aż ten wreszcie się zapadł.”

Miejsce to do dnia dzisiejszego nazywa się Kościółkami. Olbrzymi lej zapadliskowy, o średnicy około 200 metrów, który do dnia dzisiejszego widzimy po zachodniej stronie szczytu (Diablaka). (...)

Również mgr Władysław Midowicz, znakomity znawca tego masywu, opowiadał, że leśniczy Jan Ficek mówił mu o dziurach w Izdebczykach, o których dowiedział się od ojca, ale bał się tam wejść. Niestety w latach od 1950 do około 1990, tj. ostatnim czterdziestolecium, grotty te, czy może raczej rozpadliny skalne, uległy zawaleniu i najprawdopodobniej nigdy już nie będzie można do nich dotrzeć. Niestety, nie jest też możliwe skonsultowanie treści niniejszego traktatu z żadnym z tych dwóch znawców, ponieważ oboje są już nieżyjący. Leśniczy Jan Ficek, urodzony w Skawinie w 1865 roku, zmarł w 1939 roku. W rejonie Babiej Góry był szeroko znany jako działacz Oddziału Babiogórskiego PTTK. Swą znajomość tego obszaru wyniósł z pracy jako gajowy a później leśniczy w lasach na północnych stokach Babiej Góry. Z kolei mgr Władysław Midowicz żył w latach 1908 do 1993. Był on m.in. odkrywcą znaków w Zbójckim Wąwozie (stara nazwa „Urwisty Wąwóz”). Jako student wytyczył on szlak „Akademicka Perć”, łączący Górny Płaj z Diablakiem.”

Najciekawsza jednak wydała mi się historia zacytowana poniżej, również spisana w latach dziewięćdziesiątych¹⁷:

„Tymczasem po upływie mniej więcej roku od momentu jak przeczytałem opowieść o przygodzie Wincentego, w sposób niezamierzony i właściwie zupełnie przypadkowy spotkałem starszego jegomościa z Lipnicy Wielkiej. Ni stąd ni zowąd zaczął on mówić o pogodzie, to znów o tym, co w życiu przeżył. Jednym słowem sprawiał wrażenie człowieka otwartego i skorego do rozmowy. W tym czasie pogoda była znakomita, zagadnąłem

więc, że pięknie widać Babią Górę. Starszy jegomość obrócił się w stronę Babiej kiwając głową. Powiedział: „oj, co ja się tam uchodził.” Pomyślałem wówczas, że będzie okazała dziadka „przetestować” co wie na temat Babiej Góry. W pierwszych chwilach naszej rozmowy nie zadawałem trudnych pytań w celu wybadania poziomu wiedzy. Starłem się przy tym robić wrażenie, że niezbyt dobrze jestem zorientowany w temacie babiogórskim. Na wszystkie pytania starszy jegomość odpowiadał chętnie, potwierdzając tym samym, iż zna doskonale teren gdzie się urodził, wychował, i gdzie zapewne przyjdzie mu skończyć żywot.

Po chwili rozmowy już wiedziałem, że znakomicie zna poszczególne miejsca. Postanowiłem „uderzyć” z pytaniem, które jak sadziłem zupełnie go zaskoczy. Treść pytania przedstawiała się mniej więcej tak: „Wiecie ja raz coś czytałem, że tu pod Babią Górą miał iść jakiś tunel?” Nie upłynęło więcej jak dwie sekundy jak dziadek mówi: „Noba jako, widzicie tyn brzeg, tam za tym brzegiem są Racice {jak on nazywał Rabczyce} to wiecie tamto w tych Racicach koło kościoła było wejście i ciągnęło się chet tam na górze, o ... widzicie tam.”

W pierwszej chwili nogi mi się ugięły, zrobiło mi się ciepło, starałem się dziadka obserwować czy przypadkiem w pewnej chwili nie wybuchnie śmiechem, ale gdzie tam mówił z taką powagą, że przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. Po chwili jak już do mnie dotarło, że nie robi ze mnie balona i z całą powagą opowiada, mówię mu, że to chyba bajki.

„Panie gdzie tam bajki, jo przecie tam wloz i dostałem wtedy po dupie od starszych braci.”

Jak pamiętam jedyna myśl, jaka mi wtedy przeleciała przez głowę to ta, że niech to diabli wezmą, to ja się tam tyle udreptałem, a dziadek tysiąc metrów niżej ciągnie mi taką opowieść. Gdybym miał wtedy gdzie usiąść to bym sobie usiadł. Jak to wyglądało, co tam było zapytałem.

„Wiecie jo wloz do tyj dziury tam w górze przy schronisku, wycie ky było schronisko {twierdząco przytaknąłem głową}, to tam w stronę Słowacji będzie pewnie, jo wiem ze sto metrów od schroniska były takie dziury i wiecie jo tam wloz.”

Co tam było ponownie zapytałem?

„Wiecie za wiele to jo nie widział no, bo nimiołef światła, a kto tam dawno mioł jakie światło, to tak z pare metrów wiecie było na dół dość ciasno, a potem to się wiecie poszywało, ale dalej to zef się boł iść.”

Nie było tam nic widać?

„Widać to nic nie było ino tak jakby wiecie woda tam pluskała, bracia mnie wpaczyli, jak jo tam wlaził, bo oni tam wiecie paśli, ej dostałem wtedy za swoje. A potem jak byłef star-

sy to jeden z braci pokazał mi w Racicach tom dziure, z któryj się wychodziło. Ponoć wiecie tak godali, ze dwóch takich to tam wlażło i już wiencyj nie wysli, to potym wiecie zaczępali tom dziure coby nikogo nie korciło. Jak byłbyf młodszy tak z pindziesiont roków to bymy tam pošli, to bym wam pokozoł gdzie to było, ale wiecie teroz to jo już nie dom rady.”

Cholera pomyślałem, żeby dziadek faktycznie był młodszy. A nie było to po słowackiej stronie tam jak to nazywają {udaję, że nie pamiętam nazwy} o ... Orawskich Piwnicach?

A gdzie tam, to zaraz za spalonym schroniskiem, wiecie gdzie {przypadkiem}, nie, nie to nie w Orawskich Dziurach {jak je nazywał starszy jegomość}.

A ktoś młodszy od was czasami nie wie dokładnie gdzie to jest?

„E teroz to ci młodzi to gówno panie wiem, poczom ino w tyn to jakto się nazywa, wideto.”

Autorzy pracy skrótowo, bo w kilku zdaniach wspominają też o badaniach czy poszukiwaniach realizowanych przez Niemców w czasie wojny – w latach 1942 – 1943. Mieszkańcom tego obszaru utrwaliło się w pamięci zwłaszcza zainteresowanie Niemców dziwnym przepływem wody w tym rejonie. Jest mianowicie wiele strumieni, które nagle znikają pod ziemią. Specjaliści Himmlera stracili wiele czasu na zabarwianiu tych strumieni specjalnymi substancjami chemicznymi – w nadziei, że kolorowa woda gdzieś wypłynie. Podobno jednak ani razu takiego wypływu nie stwierdzono.

Jak wspominałem, analogiczne legendy żywe są też po stronie słowackiej. Lokalizują one wejścia do systemu tuneli na wschodnich stokach masywu, w rejonie Rabczyc i Diabiego Stołu. Tam tunele znane są jako „Księżycowa Jaskinia”.

Końcowa część tego rozdziału to cytat z artykułu, przetłumaczonego i nadesłanego przez kol. Roberta Leśniakiewicza (za co przy tej okazji mu serdecznie dziękuję)²⁰:

Słowacy i Czesi nazywają ją POLMESIAËNA JASKYNA, albo po prostu jak w tytule - MESIAËNA JASKYNA - co po polsku znaczy tyle, co Półksiężycowa lub Księżycowa Jaskinia. W literaturze światowej pisze się najczęściej o niej - Jaskinia o Metalowych Ścianach, bądź po prostu - Studnia, co jest o tyle nieprecyzyjne, że chodzi tu raczej o szyb, strome wyrobisko, a nie formację naturalną, jaką jest jaskinia czy grota jako taka. (...) A oto, jak opisał to wszystko w dzienniku Antonin T. Horak, autor relacji, która spowodowała całe zamieszanie wokół Księżycowej Jaskini:

„23 października 1944 r.

Wczoraj wczesnym rankiem zostaliśmy znaleźieni przez Slavka i ukryci w tej jaskini. Dzisiaj o zmroku, powrócił do nas ze swoją córką Hanką i przyniósł jedzenie i lekarstwa. Od piątku niczego nie mieliśmy w ustach, a przedtem, w czasie ostatnich dwóch potyczek jedliśmy tylko kukurydziany chleb, a i tego było mało.

W sobotę po południu, resztki naszego batalionu (184 żołnierzy i oficerów, z których ¼ była ranna, a 16 ludzi było przenoszonych na noszach), kuśtykały po śniegu na północnym stoku. Moja kompania była w ariergardzie. W niedzielę o świcie zaatakowano nas z odległości 300 metrów, dwa 70-milimetrowe działa. Trzymaliśmy się przez 12 godzin, potem odparliśmy atak, ale lewe skrzydło nie wytrzymało, co kosztowało nas kilka ran. W czasie potyczki z nieprzyjacielem odniosłem rany bagnietem i kulą w lewą dłoń, a na dodatek zostałem jeszcze raniony w głowę, co wydarzyło się w następnym starciu. Z braku hełmu oberwałem solidnie po głowie - stąd dokuczliwa rana.

Odzyskałem przytomność, kiedy ktoś wyciągnął mnie z okopu. Był to wysoki chłop. Nacierał mi ręce i głowę śniegiem i uśmiechał się. Potem ten dobry Samarytanin zabrał się za Jurka. Zdjął mu spodnie, wyciągnął odtłamek z nogi i położył na śniegu. Martinowi zrzecznie przewiązał głęboką ranę na brzuchu. Kiedy zrobił prowizoryczne nosze, przedstawił się nam jako pasterz (właściwie był bacą) Slavek, do którego należały okalające nas pastwiska. Do naszego schronienia dostaliśmy się przy jego pomocy po 4 godzinach.

(Slavek) odwalił kilka głązów i pokazał wąski otwór - wejście do przestrzennej jaskini. Położył Martina do kąta a potem go przeżegnał, przeżegnał także i nas i jaskinię, a potem z ukłonami żegnał się także przed tylną ścianą, gdzie widać było wejście do jej dalszej części.

Kiedy odchodził od nas, powtórzył ten sam rytuał i prosił mnie, bym nie szedł dalej w głąb jaskini. Poszedłem za nim kawalek mówiąc, że nabieram czegoś do zjedzenia. Powiedział mi, że był w tej jaskini wraz z ojcem i dziadkiem, że jest to rozległy labirynt pełen przepaści, który nigdy nie mieli ochoty badać czy zwiedzać, że są tam trujące gazy i w ogóle „tam straszy”. Powróciłem do jaskini około północy całkowicie wyczerpany. Ból głowy uśmierzałem śniegiem. Martin był nieprzytomny, a Jurek miał gorączkę. Zjedliśmy skromną wieczerzę. Obłożyłem Martina nagrzanymi kamieniami, a Jurek objął pierwszą wartę.

To była paskudna noc. Martin wrócił do przytomności, podałem mu trzy aspiryny i nieco wody ze śliwownicą, dokładnie z dziesięcioma kroplami. Głodny Jurek kręcił się koło dwóch niemieckich hełmów, gdzie gotowała się woda ze śniegu, do której dodałem po dziesięć kropli śliwownicy. Być może z powodu toczących się walk i zagrożenia lawinowego Slavek nie przyjdzie do nas wcześniej, niż za kilka dni. Z dwoma chorymi na karku nie mogłem się nawet pokusić o zapolowanie na jakiegoś zwierza, nie mówiąc już o tym, że mógłbym zagubić się w nieznanym terenie. Mamy wszak jaskinię, do której, jak mówił Slavek może być jeszcze inne wejście i nie wykluczone, że nawet zimuje tu jakieś zwierzę. Rozważałem na głos takie możliwości, a Jurek żuł jodłową korę i prosił mnie, bym jednak poszedł w głąb jaskini na polowanie. Przyniósł mi, że nikomu o tym nie powie. Nie czułem głodu, ale interesowało mnie, co mogło przestraszyć tak pewnego siebie Slavka,

że aż wzywał Boga. Zabrałem ze sobą broń i pochodnię. Po półtorej godzinie idąc dość wygodnym i bezpiecznym korytarzem, dostałem się do długiego jakby przedsionka zakończonego niewielkim otworem.

Wlałem do tego otworu i stukłem sobie kolano. Było tam coś podobnego do wielkiego czarnego silosu wpuszczonego w białe podłoże, coś jakby czarna lawa w otulinie soli czy lodu. Wytrąciło mnie to z równowagi i poczułem jakiś dziwny strach, bo zdałem sobie sprawę, że to, na co patrzę nie jest dziełem ludzkich rąk... Szyb był zakrzywiony, jakby odcisnął się w nim walec o promieniu 25 metrów. W miejscu, gdzie walec stykał się ze ścianą wytworzyły się białe stalaktyty i stalagmity. Ściana była niebiesko-czarna, z materiału, który stanowił połączenie stali, szkła czy porcelany i kauczuku. Spróbowałem tej substancji nożem - nawet nie zarysowałem jej. Pomyślałem, że jestem w dzikiej krainie, gdzie nie było nic, co wytworzyłaby cywilizacja i znajduje się w niej artefakt wysoki jak wieża, niczym baszta zamku wpuszczona w ziemię i pokryta naciekami...- mróz po kościach przeszedł mnie od tego wszystkiego.

W ścianie znajdowała się wąska i długa szczelina, na dole szeroka na jakieś 20-25 cm u samej góry ledwie 2-5 cm przez którą z biedą byłby w stanie przecisnąć się człowiek. Wnętrze jej jest zupełnie czarne i pokryte ostrymi szczykami, wielkimi jak pięść. Dno szczeliny ma kształt płytkiego koryta w ŻÓŁTYM PIASKOWCU i jest nachylone pod kątem około 60°. Wsunąłem tam zapaloną pochodnię, zasyczała jak węgle wrzucone do wody i zgasła.

Chciałem zbadać rzecz na miejscu i stwierdziłem, że mogę przecisnąć się przez szczelinę. Najpierw przepchnąłem tam głowę i prawą rękę. Ręka ze świeczką (którą miałem) też przeszła, ale musiałem działać szybko, bo było mało stearyny. Chwilowo dałem więc za wygraną - na razie, bo zagadka bardzo mnie zafascynowała. Zdecydowałem, że jeszcze tu wrócę.

Do naszej jaskini powróciłem około czwartej po południu. Jurek umył Martina i położył go między ciepłe kamienie. Dałem mu trzy aspiryny i ciepłej wody ze śliwownicą. Wyjaśniłem Jurkowi, że do polowania będzie mi potrzebny powróż, tyczka i pochodnia. Na szczęście przyszli Slavkowie z zapasami. Potem poszedłem z nimi, by nazbierać sucharów na pochodnie. Półmartwy ze zmęczenia powróciłem do jaskini około drugiej nad ranem - ale wreszcie się najedliśmy, Jurek aż za bardzo - więc jako drugi objąłem wartę.

24 października 1944r.

Noc przebiegła spokojnie. Martin wypił ziołowy wywar z miodem przeciw gorączce. Mam nadzieję, że się z tego wygrzebie. Jurek nie ma już tak opuchłych pleców, ale moja głowa jeszcze nie jest w porządku. Pociąłem nasze pasy i rzemienie dzięki czemu zdobyłem jakieś 8 metrów mocnej liny. O godzinie 10 byłem znów przy ścianie, gdzie przecią-

gnąłem pręt z uwiązaną linką, po której przelazłem na drugą stronę szczeliny ciemnego szybu. Tym razem miałem karbidówkę, którą przerzuciłem tam najpierw. Nie widziałem niczego, ale słyszałem coś, jakby dźwięk przepływającej wody. Bałem się, że za szczeliną jest przepaść i że wpadnę tam głową w dół. Nie było w szczelinie żadnych luźnych kamieni, więc odłamałem kilka stalagmitów i rzuciłem je w ciemność. Słyszałem jak turlały się po spągu i zatrzymywały z trzaskiem, co upewniło mnie w tym, że jest tam jakieś dno. Potem rzuciłem zapalone łuczywo i wreszcie podążyłem za nim. Wyleciałem ze szczeliny po drugiej stronie, poturlałem się i zatrzymałem na ścianie, która była tak samo gładka, jak ta od strony jaskini. Lampa jeszcze się koło mnie paliła i słyszałem jakieś dziwne dźwięki. Kiedy zapaliłem pochodnie zauważyłem, że znajduję się w szybie o zakrzywionych czarnych ścianach, które tworzyły niemal pionowy komin o przekroju sierpowatym. Nie jestem w stanie opisać tej ciemności ani zwielokrotnionego odgłosu mojego oddechu czy każdego ruchu. Dno szybu było wyłożone (a może wykute) solidnym wapieniem.

Wszystkie światło, którym dysponowałem, nie było w stanie dokładnie oświetlić stropu, gdzie ściany się kończyły lub stykały. Pozioma odległość pomiędzy ścianami szybu wynosiła około 8 m, a pomiędzy „szpicami” sierpa aż 25 m. Do dalszych badań potrzebowałem więcej pochodni i dłuższych tyk, które jednak by się nie zmieściły w wejściowej szczelinie.

Wracałem umorusany ale pełen nadziei, że uda mi się do końca zbadać tą niezwykłą strukturę, która była chyba jedyna na świecie. Tym razem udało mi się sforsować szczelinę bez problemów. Wylazłem z szybu, zapaliłem i poszedłem z powrotem do mych towarzyszy niedoli. W drodze powrotnej chciałem złapać jakiegoś nietoperza, ale nadermnie. Jurek gotował ziemniaki i wybaczył mi niepowodzenie w polowaniu, potem namaścił moje rany na plecach i poszywał koszulę. Martin zjadł kawałek chleba i popił wywarem z ziół doprawionym miodem. Po 18. wybrałem się po zapas drewna na ognisko i pochodnie i powróciłem około 22. Jurek pilnował cały czas jaskini.

25 października 1944r.

Noc upłynęła spokojnie. Martin ma się nieźle. Jestem zadowolony także z tego, że rany Jurka już się goją i chciałby pójść ze mną. Lepiej byłoby jednak, aby nie wiedział nic o tajemnicy jaskini...

Tak jak poprzednio wślizgnąłem się w szczelinę uprzednio zdjęwszy ubranie, ale tym razem nogami do przodu. Mimo tego, że przywiązałem pochodnie do dwóch tyczek, nie byłem w stanie ujrzeć stropu szybu. Strzeliłem dwukrotnie wzdłuż ściany do góry. Zahuczało jak uderzenie pioruna, a właściwie przypominało to huk przejeżdżającego ekspresu i to wszystko. Wystrzeliłem więc jeszcze raz w każdą ścianę po jednej kuli. Z miejsc w skałę? Czy jest tam jeszcze coś innego oprócz tego szybu? Czy był to wytwór ludzkich rąk?

Ile jest prawdy w legendach Platona o dawno znikłych cywilizacjach dysponujących magiczną techniką, jakiej nawet nie możemy sobie wyobrazić? . . .

Jestem człowiekiem ostrożnym w osądach, z wykształceniem uniwersyteckim, ale muszę dopuścić myśl, że tam między tymi wysokimi, idealnie pochyłonymi, wręcz z matematyczną dokładnością zakrzywionymi ścianami, czarnymi i gładkimi jak atlas, odczułem tchnienie jakiejś nieznannej potęgi. Teraz rozumiałem w pełni zachowanie się Slavka i jego przodków, którzy swymi praktycznymi i prostymi rozumami sądzili, że są to jakieś czary? . . . Slavek ukrywał fakt istnienia Księżycowej Jaskini z obawy przed najazdem hord turystów i wszystkim, co taki najazd niesie. Czyżby przeraziła go komercjalizacja jego prostego życia na tonie przyrody?

W drodze powrotnej zamaskowałem otwory wiodące do jaskini. Być może ma ona jakieś wejścia, których Slavek nie zna, a przez które może wejść tam jakiś poszukiwacz „skarbów” czy speleolog. Wróciłem o 3. po południu. Około 5. przyszedli Slavkowie przynosząc kilka jajek na twardo.

Żegnając się po słowacku uścisnęliśmy sobie mocno ręce, zabraliśmy broń i nasze rzeczy i poszliśmy. Kiedy weszliśmy do lasu, obejrzelśmy się widząc Slavka zakrywającego wylot jaskini. Jego córki zamazywały nasze ślady. Śnieg skrzył się w jasnym świetle wschodzącego Księżycy.

*W ostatnich dniach II wojny światowej jadąc do Czech odwiedziłem to miejsce ponownie. Slavkowie mieszkali tymczasowo w Ždiarze. Odwiedziłem grób Martina i poszedłem obejrzeć wejście do jaskini. Zęby zwierzęcia, które tam znalazłem oddałem konserwatorowi w wydziale muzeum paleontologicznego w Užgorodzie (Ukraina). Konserwator określił je jako zęby dorosłego niedźwiedzia jaskiniowego (*Ursus spealeus*) . I znów wynikły z tego pytania: wejście jest bardzo ciasne - jak ten niedźwiedź się tam dostał? Wszak blok wapienia i stalaktyty były nienaruszone i nic nie wskazywało na to, by cokolwiek je uszkodziło. Widocznie miś spadł do szybu wtedy, kiedy miał on jeszcze połączenie z powierzchnią? . . .*

Przy ostatnich odwiedzinach tamtego terenu zbadałem całe zbocze góry nad jaskinią i nie znalazłem żadnego otworu, który mógłby być połączony z „półksiężycowym szymbem”. Jednak w tak młodych górach jakimi są Tatry, mogło je zatarasować jakieś obsunięcie skały, co się często tam zdarza” .

NIEDOPOWIEDZIANA HISTORIA GŁUSZYCY

Pozostajemy w kręgu podziemnego świata...

Tym razem chodzi jednak o (równie) legendarny kompleks „Riese”, budowany przez Niemców w Górach Sowich. Legendarny już choćby z tego względu, że miał zajmować łącznie obszar aż kilkunastu kilometrów kwadratowych. Jest rzeczą pewną, że dzisiaj znamy tylko jego część (ok. 90 tys. m³), chociaż według memorandum ministra przemysłu zbrojeniowego Alberta Speera (cytowanego np. w książce „Katakumba – ostatnie dni w bunkrze Hitlera”) tylko do września 1944 roku, a więc na ponad pół roku przed zakończeniem prac „wykonano 213 000 m³ podziemnych chodników”. Speer podał w swych wspomnieniach, że na to monstrum „zużyto więcej betonu niż w 1944 r. przyznano dla całej ludności na budowę schronów”.

Nie ma się więc co dziwić, że „Riese” jest od lat inspiracją dla poszukiwaczy. Ale czy będzie nią nadal? – jest możliwe, że jesteśmy już bardzo blisko rozwiązania tej tajemnicy, być może dojdzie do tego jeszcze przed końcem 2004 r.

W książce „Moje poszukiwania” opisałem historię odkrycia dojścia do centralnej części „Riese” – jest to sprawa naprawdę fascynująca. Dotyczy ona wschodniej części masywu Gór Sowich. W tej książce chciałbym jednak skoncentrować się na innej zagadce – związanej z zachodnimi zboczami masywu, od strony miejscowości Głuszycy. Dlaczego jednak coś tam miałyby być?

Wiele faktów czy śladów wskazuje na ten rejon, postaram się je podsumować. Kilka lat temu wpadł w moje ręce dokument tzw. Akcji Rozbrojenia Linii Odry, realizowanej w pierwszych latach po wojnie. W dokumencie tym, noszącym datę 6 maja 1947 roku opisano aferę kryminalną, w którą zamieszani byli „przedstawiciele miejscowych władz”. Chodziło o nielegalny wywóz (szaber) maszyn – podobno kilkuset, i innego wyposażenia z głuszyckich podziemi. Podobno były to m.in. nowe, dieslowskie generatory prądotwórcze. Szereg osób aresztowano i postawiono przed sądem. Dokument ten stanowił istotny, trudny do podważenia ślad. Nie rozpętałyby się przecież afery sięgająca aż Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, gdyby chodziło o jakieś tam drobiazgi – taki szaber był na porządku dziennym (na dokumencie jest adnotacja o przekazaniu sprawy do rozpatrzenia przez ministra Różańskiego). Mogło to wskazywać na istnienie koło Głuszycy całkiem sporych podziemi – z wyposażeniem.



Jeden z tuneli znanej części „Riese”.

Nie był to jednak jedyny sygnał tego rodzaju. Pamięć o całkiem sporym obiekcie zachowali też ludzie, chociaż żaden z rozmówców, do jakich dotarłem nie potrafił wskazać wejścia czy wejść. To już przecież dosyć starzy ludzie. Słyszałem dwie wersje: wejście miało się znajdować gdzieś w rejonie Zimnej Wody, być może w pobliżu dawnego obozu jeńców włoskich lub „na północny-zachód od góry Sobon”.

Ciekawym tropem jest też list nadesłany przez byłego milicjanta z Głuszyicy do Jerzego Cery i zamieszczony w jego książce.¹⁸ Nazwisko milicjanta nie zostało ujawnione, ale jak sam podaje, pełnił on tam służbę już od lipca 1945 roku. Pozwolę sobie na krótkie cytaty z jego listu:

„Posterunek nasz składał się m.in. z byłych partyzantów, do których ja się również zaliczam. Nic też dziwnego, że kiedy dowiedzieliśmy się o istnieniu dziwnych budowli i lochów w pobliskich lasach zaczęliśmy ich penetrację. Tu należy zwrócić uwagę, że te nasze „wycieczki” w grupach 3 – 5 osób w ówczesnym czasie nie należały do bezpiecznych, zważywszy na niezajomość terenu oraz istnienie grup niedobitków Werwolfa, które w tym górzystym a zarazem lesistym, nadgranicznym terenie chowały się, znajdując zaplecze u ludności niemieckiej. Ale jak już wspominałem mieliśmy niezłą zaprawę w partyzantce, więc postanowiliśmy w pewnym sensie ryzykować. (...)

Nasze wycieczki w ten ciekawy teren wprowadzały nas w zdumienie, albowiem raz po raz byliśmy zaskakiwani coraz to nowymi odkryciami, dziwnych budowli z żelazobetonu, tuneli, komór oraz bogactwem różnego rodzaju sprzętu budowlanego wraz z siecią torowisk kolejki wąskotorowej, spinającej się po zboczach gór oraz bardzo dobrze utrzymanych dróg dojazdowych, oraz sieci elektrycznej i innej. Wszystko zostało porzucone tak jak skończyła się wojna – duża betoniarka mechaniczna na chodzie, lokomobile dieslowskie itp.

Sprzęt budowlany, szczególnie ciężki, był wszędzie. Ten sprzęt został ewidencjonowany i ściągany na dół przez nie pamiętam, jakie przedsiębiorstwo z Kłodzka. Dokonywał tego jako kierownik – niestety zmarły przed rokiem w Opolu mój serdeczny przyjaciel – Kazimierz Dąbrowski. (...)

Wędrując tak po tym terenie zapuszczaliśmy się w nieznanne tunele, jednak do końca ich nie doszliśmy. Po prostu nie dysponowaliśmy sprzętem a nadto ostrzeżono nas o niebezpieczeństwie zaminowania, tudzież spotkania się z Werwolfem. Kilkakrotnie natknęliśmy się na ślady pobytu ludzi, co nas utwierdziło, że ostrzeżenia nie są bezpodstawne. Również napotkaliśmy w tunelach na zapory wodne sztucznie zbudowane, co uniemożliwiało nam dalszą penetrację.

W środku tuneli były komory zamykane stalowymi drzwiami – puste wewnątrz. Chociaż też nie wszystkie otwieraliśmy z prostej przyczyny braku aparatów acetylenowych do cięcia."

Najbardziej intrygujące są ostatnie z cytowanych zdań, mówiące o „komorach zamykanych stalowymi drzwiami”, gdyż niczego takiego dzisiaj nie znamy. Zresztą, jeśli byłyby pancerne drzwi, to raczej hale te powinny być obetonowane.

Spróbujmy jednak na to wszystko spojrzeć inaczej...

Czy w rejonie tym rzeczywiście są ślady prowadzenia prac na dużą skalę? Problem polega właśnie na tym, że są. Drażenie obiektów podziemnych realizowano w głównym masywie Gór Sowich najwyraźniej z trzech stron: od wschodu, południa i zachodu. Na wschodzie mamy obiekty „Włodarz”, „Rzeczka” i szczytkowy – „Jugowice”, na południu – „Osówkę” a na zachodzie, czyli od strony Głuszycy – prawie nic. Jest wprawdzie obiekt „Soboń” – tuż pod szczytem góry o tej samej nazwie, jest on jednak tak skromny, że trudno go nawet nazywać obiektem podziemnym. Jeśli z kalkulacji wyliczyć „Sobon” z jego własnymi komandami roboczymi, to okaże się, że około połowy całej siły roboczej pracującej dla „Riese” znajdowało się właśnie od strony Głuszycy. Jest to fakt bardzo konkretny.

Uważałem zresztą, że wskazówką tego samego rodzaju jest też samo istnienie obiektu „Soboń”. Dlaczego? W przypadku zasadniczej części „Olbrzyma” przyjęto zasadę, że obiekty drażone na obwodzie masywu miały być połączone – drażono je z tej sa-



Pan Chlebostaw Adamczyk, prezes zakładów Dall w Głuszycy.



Fragment podziemi – piwnic zakładów Dall.

mej lub bardzo zbliżonej poziomicy. „Soboń” się natomiast z tego schematu wyraźnie wyłamuje. Powstał około 60 m wyżej, blisko szczytu. Trudno byłoby wydrążyć w nim np. duże hale. Zawsze byłem gotów raczej uznawać go za dowód istnienia właściwego obiektu podziemnego... gdzie indziej, a mianowicie ok. 60 m niżej. „Soboń” i otaczające go, niewspółmiernie zresztą duże, zaplecze budowlane widziałem raczej jako odpowiednik „poziomu infrastruktury naziemnej” znajdującego się nad obiektem „Osówka” (na tej samej wysokości), tzn. jako „infrastrukturę towarzyszącą”. Czy hipoteza ta się potwierdzi, czy nie, to czas być może pokaże. Tak czy inaczej „Soboń” – skrzyżowanie dwóch surowych tuneli o długości paruset metrów raczej za „tajemnicę Głuszycy” nie odpowiada.

Kolejny ciekawy ślad czy fakt, wskazujący na ten rejon to to, że w poważnych niemieckich opracowaniach historycznych jako lokalizację „Riese” podaje się właśnie... Głuszycę (np. w książce prof. Zeidlera i D. Zeigerta o kwaterach Hitlera, czy w pracy „Deutschland im Zweiten Weltkrieg”).

Niezależnie od tego, wychodząc z założenia, że przynajmniej większość kompleksu miała mieć przeznaczenie przemysłowe lub ba-

dawczo-przemysłowe (całość byłaby za duża jak na kwatere Hitlera), budowa powinna wykorzystywać główny atut Głuszycy, jakim jest zaplecze już istniejącej infrastruktury. Innymi słowy, w polu mojego zainteresowania znalazły się przede wszystkim zakłady przemysłowe ulokowane u podnóża gór, gdyż one mogły stosunkowo łatwo ukryć doprowadzenia wszelkich instalacji, jak i same wejścia. Trop ten okazał się dosyć owocny, chociaż o istnieniu podziemi związanych z zakładami w Głuszycy wspominał już (krótko) zarówno Jerzy Cera¹⁸, jak i Mariusz Aniszewski¹⁹. W książce „Prawda o Wunderwaffe” sporo miejsca poświęciłem wątkowi zainicjowanemu przez prof. Mieczysława Mołdawię – byłego więźnia-pracownika tzw. Kancelarii Technicznej obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Podał on, że „od strony Głuszycy” budowano duże zaplecze przemysłowe – podziemne dla placówek badawczo-rozwojowych pracujących nad nowymi, rewolucyjnymi „broniami powietrznymi”. Dziwi mnie trochę, że trop ten nie wzbudza większego zainteresowania...

Ale wróćmy do kwestii zakładów przemysłowych w Głuszycy. Jak „naprowadził” mnie Jacek Duszczyk, chodzi konkretnie o zakłady obecnej firmy „Dall” – dwa zakłady. Oba dzieli odległość ok. pół kilometra na linii północ-południe. Korzystając z rekomendacji Jacka, skontaktowałem się z prezesem tych zakładów – p. Chlebostawem Adamczykiem i poprosiłem o pomoc. Okazał niezwykłą życzliwość, przydzielił mi nawet dwóch pracowników do pomocy, którzy pokazali najciekawsze miejsca. Co się okazało?

Okazało się np., że dosłownie parędziesiąt metrów od ogrodzenia Zakładu nr 1 (tego na północy), u samego podnóża góry, widać trzy, najwyraźniej „odstrzelone” wejścia pod ziemię – „surowe” tunele, pozbawione obudowy. Podobno bezpośrednio po wojnie wejścia te były drożne, wysadzono je dopiero później. Jest to zresztą bardzo ciekawy wątek. Z reguły, gdy spotykamy się z wejściami wysadzonymi w powietrze czy samoistnie zawalonymi, „automatycznie” pojawia się graniczące z pewnością przypuszczenie, że „to robota Niemców”. Gdy przyjrzymy się sprawie bliżej bardzo często okazuje się tymczasem, że było to dzieło naszych rodaków lub Rosjan. To samo wynika z dokumentów ARLO czy „relacji milicjanta”. Tak samo było z tunelem od strony Walimia, którego sprawę opisałem w książce „Moje poszukiwania”.

Wróćmy jednak do zakładów „Dall”. Równie ciekawy okazał się Zakład nr 2, gdzie zresztą w drugiej połowie wojny znajdowała się filia Kruppa, ewakuowana z Essen. Według niektórych źródeł, (np. „Deutschland im Zweiten Weltkrieg”) zachodnia część „Riese” miała służyć właśnie firmie Krupp. Wiem, że bezpośrednio po wojnie znaleziono tam dużą ilość wyposażenia o charakterze czysto górniczym. Jeden z pracowników zakładu zwrócił moją uwagę na miejsce nazywane „placem węglowym”. Jest to do-



Na trzech kolejnych zdjęciach skarpa –zawalisko, znacząca wysadzone w powietrze wejście do jednej ze sztolni nad zakładem nr.1 w Głuszycy.

syć duża betonowa powierzchnia, pod którą znajduje się ciekawa część podziemna – betonowe pomieszczenia wyposażone w pancerne drzwi. Od strony góry (tej samej, co w przypadku poprzednich i opisanych dalej wejść) widać wyraźne zamurowania w postaci ceglanego, niepasującego do reszty zabudowy, muru. Najbardziej niezwykle było jednak to, że spod tych „zaślepiających” ścian ... płynęła woda. Niedużo, ale jednak, był zresztą środek dosyć suchego lata (17.08.2004 r.). Jest to oczywiście cecha typowa dla wejść





pod ziemię, niezwykła przecież w przypadku normalnych budowli. Hipoteza robocza dotycząca tego rejonu zdaje się więc potwierdzać. Oba wspomniane miejsca – przy obu zakładach, znajdują się praktycznie na tej samej wysokości, ok. 470 m n.p.m.

W ten sam schemat wpisują się kolejne dwa wejścia, znajdujące się ok. 200 metrów na południe od zakładu nr 2 i ok. 10 m wyżej. Miejsce to położone jest tuż na zachód od trzech dużych stawów u podnóża góry Soboń. Obiekt przypomina „początek” obiektu podziemnego o łącznej długości tuneli rzędu stukilku-



Widok ze zbocza nad skarpią, zawalonym wejściem do drugiej ze sztolni.



Zapadlisko sztolni nr.2.

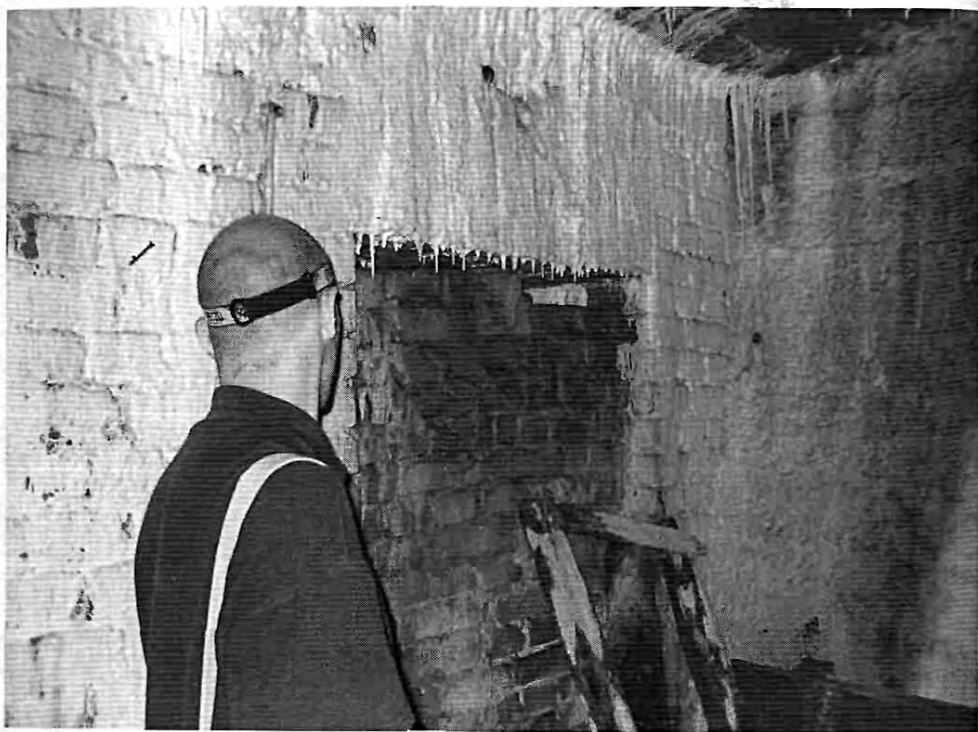


Plac węglowy.



Pod „placem węglowym” –widać m.in. zamurowane przejście w głąb. Spod jednego z fragmentów muru (czego niestety nie widać na zdjęciu) płynie woda, co raczej świadczy o istnieniu dalszej części podziemi. Fot. Piotr Kaluża.





Kolejne dwa zdjęcia pokazujące zamurowane przejście w głąb. Fot. Piotr Kaluża.



dziesięciu metrów. Posiada klasyczną wartownię podziemną i dwie nieukończone sztolnie skierowane w głąb góry. Według oficjalnie funkcjonującej wersji jest to, czy raczej był schron przeciwlotniczy, ale po co komu schron przeciwlotniczy w lesie? Moim zdaniem cały czas mamy do czynienia z przerwaną budową jednego obiektu podziemnego. Nie można zresztą wykluczyć, że są wejścia jeszcze nie odkryte i na którymś „odcinku” prace były bardziej zaawansowane, że to właśnie tam znajdowały się „komory zamykane stalowymi drzwiami”, z których plądrowano cenne wyposażenie. Być może należy szukać nieco bardziej na północ, gdzie góra stopniowo łączy się z masywem Jedlińskiej Kopy, obfitującym w ciekawe ślady?



Droga do „trzech stawów” w Głuszycy.

Na razie jednak podsumujmy to, co wiemy. Na zachodnim stoku (beziemnej) góry mamy oba zakłady „Dall”, na południowym-zachodzie wspomniany „schron” – nieukończone wejście, ale jest też coś na wschodzie. Niemal po przeciwnej stronie góry w stosunku do „placu węglowego”, w odległości ok. 600 metrów znajduje się jakby wycięcie w zboczu. Jako żywo przypomina miejsce wokół wejścia do kompleksu „Osówka” – wycięta, prawie pionowa ściana – w zboczu i zniwelowany plac. Z tą jednak różnicą, że w miejscu samego wejścia do sztolni znajduje się sterta potężnych bloków skalnych. Nie można wykluczyć, że wejście tam rzeczywiście jest, w każdym razie miejsce wygląda „klasycznie” i na pewno nie jest to kamieniołom (a taka krąży wersja), już choćby z tego powodu, że skała jest spękana, zerodowana i nadawałaby się chyba tylko jako wypełnienie pod podkłady kolejowe. Miejsce to położone jest przy drodze prowadzącej od „trzech stawów” na górę Sobon.

Jak więc można to podsumować?

Chyba mamy do czynienia z próbą budowy obiektu podziemnego, drażonego z trzech stron góry, częściowo w oparciu o przyległy zakład przemysłowy – wtedy zbrojeniowy. Bez wątpienia widzimy początkowe stadium prac, jednak chyba można mówić o budowie „Kompleksu Głuszycy”. Być może widzimy tylko jego obrzeża, względnie nie jest to ten najważniejszy z obiektów wykutych koło Głuszycy, jednak z pewnością obraz sytuacji jest choćby odrobinę jaśniejszy. Jest to tylko jeden element w układance, jaką jest kompleks „Riese”. Jeśli naniesiemy to wszystko na mapę zobaczymy jakby trzy zasadnicze elementy: 1. obiekt-



Jedno z częściowo zawalonych wejść do obiektu podziemnego przy stawach.



Resztki wojennych baraków przy stawach.



Skarpa przy drodze na Soboń, przypominająca n.p. skarpę nad wejściem do podziemi Osówki. Może to być miejsce przygotowane do drążenia, ale również może to być zawalone wejście już istniejące, gdyż w dolnej części skarpy znajduje się rumowisko, zasłaniające litą skałę.

Droga na Soboń.





Jeden ze stawów.

ty umieszczone na obwodzie masywu centralnego, na tej samej poziomicy i skierowane na jego środek, 2. W tymże „środku”: hipotetyczny wciąż „obiekt główny” – choć wejście zostało odkryte, w chwili pisania tej książki nie zostało jeszcze spenetrowane, to czy na jego końcu będzie „centrum” dopiero się okaże (obiekty z grup 1 i 2 tworzyłyby jakby schemat uproszczonej pajęczyny – „Centrum”, „Włodarz”, „Rzeczka”, „Osówka” i być może „Sobon”). Wyraźnie jednak widać, że w obrębie „właściwego Riese” (z pominięciem np. Książa i Ludwikowic) miała istnieć też trzecia grupa – obiektów drażonych w górach „odsuniętych” od zasadniczej części masywu, na innych poziomach. Takie obiekty to właśnie podziemia opisane w tym rozdziale oraz „Jugowice” i „Gontowa”. Oczywiście podsumowanie tego rozdziału należy traktować jako hipotezę roboczą.

BIBLIOGRAFIA

1. H. Thomas „SS-1, Tajemnica śmierci i bogactw Heinricha Himmlera”, wyd. Sensacje XX wieku 2002.
2. „Rozmowy przy stole”, wyd. Charyzma 1996 (wstęp).
3. A. Baker „Invisible eagle”, wyd. Virgin 2000.
4. P. Moon „The Black Sun...”, wyd. Sky Books 1997.
5. G. Patton, R. Mackness „Święty skarb”, wyd. Amber 1999.
6. „U-534”, Explorator, nr 6.
7. „Kriminalfälle ohne Beispiel”, wyd. Das Neue Berlin 1971.
8. D. Hamšik „Drugi człowiek Trzeciej Rzeszy”, wyd. Bellona 1991.
9. A. Mostowicz „Spór o synów nieba”, wyd. WIS-2 1994.
10. Ch. Bernadac „Le Mystere Otto Rahn”, wyd. France-Empire 1978.
11. V. Schaubeger „Unsere Sinnlose Arbeit”, wyd. Krystall (Austria) 1933-1934.
12. C. Coats „Living energies”, wyd. Gateway Books 1996.
13. O. Alexandersson „Living water...”, wyd. Gateway Books 1990.
14. V. Schaubeger „Klimator”, czasopismo „Implosion”, nr 77 (1945).
15. E. Norman „This hollow Earth”, wyd. Lancer Books 1972.
16. M.H. Kater „Das Ahnenerbe der SS”, wyd. R. Oldenbourg 1997.
17. J. Pająk, K. Pańszczyk „Tunele NOL spod Babiej Góry”. Praca niepublikowana.
18. J. Cera „Tajemnice Gór Sowich”, wyd. Inter-Cera 1998.
19. M. Aniszewski „Podziemny świat Gór Sowich”, wyd. Oficyna Aniszewski 2002.
20. M. Jesensky „Tajemnica Księżycowej Jaskini”, Wizje Peryferyjne nr. 2/1996.

SPIS TREŚCI

Drugie oblicze Himmlera, czyli pogoń za skarbami nie z tego świata	5
Schauberger - Leonardo do Vinci Trzeciej Rzeszy?	57
Jeszcze o niezwykłych poszukiwaniach Reichsführera SS	85
Niedopowiedziana historia Głuszycy	100
Bibliografia	116
Sprzedaż wysyłkowa	117



Igor Witkowski - urodzony w 1963 roku w Warszawie. Od 1990 roku pracuje jako dziennikarz zajmujący się tajemnicami przeszłości ludzkości oraz techniką wojskową (był redaktorem naczelnym miesięczników „Technika Wojskowa” oraz „Druga Wojna Światowa”, napisał ponad sto artykułów i kilkanaście książek z tej dziedziny).

Kronika Hitlerowskich Tajemnic to opis jednych z najbardziej tajemniczych epizodów w historii III Rzeszy.

- Tajne programy Heinricha Himmlera, mające doprowadzić do odnalezienia mitycznych wręcz pozostałości z odległych czasów: tybetańskich manuskryptów zawierających tajemną wiedzę, Świętego Graala, Arki Przymierza, klejnotów Attyli, Włóczy Przeznaczenia.
- Obszerny opis prac niekonwencjonalnego wynalazcy - Viktora Schaubergera.
- Poszukiwania drogi do mitycznego podziemnego świata, realizowane przez SS.
- Opis śladów prowadzących do nieodkrytego niemieckiego obiektu podziemnego w Górach Sowich.

NIEBAWEM UKAZĄ SIĘ:

MOJE POSZUKIWANIA



*Moje
Poszukiwania*

oraz

*Prawda
o Wunderwaffe*

ISBN 83-88259-17-2



IGOR WITKOWSKI PRAWDA O WUNDERWAFFE

